ZAGRANICA

Lot Zeppelina do Ameryki

Nowy Zeppelin niemiecki, największy obecnie sterowiec na świecie, po kilku lotach próbnych, podjął swój pierwszy lot pasażerski do Ameryki. Dr. Eckener, konstruktor Zeppelina i jego kapitan w czasie pierwszych lotów, zapowiedział, że sterowiec doleci do kontynentu amerykańskiego w ciągu 70 godzin i wyląduje w Lakehurst pod Nowym Jorkiem w niedzielę, dnia 14 października. Przepowiednia ta nie sprawdziła się. Sterowiec potrzebował 116 godzin, aby dolecieć do miejsca przeznaczenia w Ameryce. Napotkał po drodze wiatry przeciwne i burze, z któremi musiał bądź walczyć, bądź je omijać, co tak znacznie opóźniło jego przybycie do Ameryki, a ponadto stało się powodem kilku uszkodzeń, które musiano w czasie lotu naprawiać.

Na pokładzie sterowca w tej pierwszej jego transatlantyckiej podróży znajdowało się 60 osób, przeważnie korespondentów pism, przedstawicieli niemieckich władz rządowych oraz trzech zwyczajnych pasażerów, którzy za biletami jazdy, po raz pierwszy, odbyli podróż napowietrzną z Europy do Stanów Zjednoczonych.

Lot Zeppelina jest jeszcze jednym dowodem, że problem komunikacji powietrznej pomiędzy Ameryką a Europą jest jeszcze bardzo daleki od rozwiązania. Okazuje się, że nie rozwiąże się go przy pomocy balonów, gdyż balony w niemniejszym stopniu niż samoloty zależne są od warunków atmosferycznych. W porównaniu z samolotami balony dają większą gwarancję bezpieczeństwa na wypadek zepsucia się motorów, ale *nie dają natomiast żadnej pewności, iż przestrzeń pomiędzy kontynentem europejskim a amerykańskim przelecą prędzej niż przepłynie szybki nowoczesny statek pasażerski.* Zeppelin leciał sto szesnaście godzin, czyli prawie tyle ile potrzebuje szybki statek morski.

Gdy się w dodatku weźmie pod uwagę, że sterowce w pewnych warunkach atmosferycznych nie mogą w oznaczonym terminie startować, lecz wyczekiwać muszą na sprzyjające warunki atmosferyczne, to jako środek komunikacyjny nie przedstawiają żadnej wartości. Pasażerowie Zeppelina, gdyby byli wsiedli na okręt w tym dniu, na który naznaczono pierwotnie odlot sterowca, byliby conajmniej o całą dobę wcześniej w Nowym Jorku, sterowiec bowiem musiał przeszło dobę czekać na taką pogodę, która pozwoliłaby wyprowadzić go z hangaru i wypuścić w powietrze bez obawy, że zaraz w pierwszej chwili porwany zostanie przez wichurę i rzucony o drzewa, budynki lub poprostu o ziemię.

Jak więc wspomnieliśmy, pierwsza ta próba nie pozwala żywić nadziei, że przy pomocy Zeppelinów uda się znacznie skrócić drogę pomiędzy lądem europejskim a amerykańskim. Może to mieć miejsce tylko w wyjątkowo sprzyjających warunkach atmosferycznych, a takie szczęśliwe okoliczności wydarzają się bardzo rzadko.

Obecnie świat czeka na drugą niezmiernie doniosłą próbę. Również w Niemczech jest na ukończeniu budowa *olbrzymiego samolotu o dwunastu tysiąckonnych motorach,* zaopatrzonego w pływaki, pozwalające przez dłuższy czas utrzymać się na wodzie w razie jakiegoś uszkodzenia i konieczności dokonania naprawy. Jeżeli próby z tym samolotem powiodą się lepiej niż z Zeppelinem, to dalsze wysiłki techniki pójdą wyłącznie w kierunku takich ulepszeń konstrukcyjnych w samolocie, by z jednej strony zwiększyć sprawność i bezpieczeństwo w funkcjonowaniu motorów, a z drugiej zwiększyć zdolność nośną samolotów, tak, aby oprócz benzyny i smaru, można zabierać także większą ilość pasażerów i dać im znośne warunki podróży.

Prokurator Jacoby

W Berlinie toczy się obecnie sensacyjny proces przeciw niejakiemu Bergmanowi, właścicielowi domu bankowego i zakładu zastawniczego, który zbankrutował, narażając swoją klientelę na miljonowe straty.

W procesie tym oprócz oskarżonego główną rolę gra prokurator Jacoby, jeden z wybitniejszych przedstawicieli prokuratury berlińskiej. Prokurator Jakoby za wynagrodzeniem pozwalał Bergmanowi powoływać się na siebie, a gdy na skutek takich powoływań się klientela Bergmana zwracała się do niego z prośbą o informacje o interesach Bergmana, prokurator wydawał jaknajpochlebniejsze opinje.

Oprócz prokuratora Jacoby, Bergman miał szereg takich samych informatorów i to przeważnie ludzi na bardzo wysokich stanowiskach urzędowych. Jacoby był jednak najgorliwszym informatorem i agentem Bergmana, dzięki czemu znalazł się przed sądem jako oskarżony o współudział w oszustwach.

W związku z tem prasa niemiecka porusza sprawę uposażenia urzędników niemieckich. Jedno z pism opublikowało artykuł, w którym przedstawia budżet domowy prokuratora Jacoby.

Jacoby jako radca prokuratury pobierał miesięcznie **630 marek** i to stanowiło cały jego dochód. Wydatki zaś miał następujące: czynsz za mieszkanie 134 marek, 10 marek za ogrzewanie centralne, 30 marek opłaty szkolne, 50 marek pensja służącej, 50 marek elektryczność, gaz i telefon, 50 marek spłata zaliczki, pobranej na przeprowadzenie remontu mieszkania, 20 marek na spłatę pożyczki zaciągniętej w kasie urzędniczej.

W ten sposób z pensji miesięcznej pozostawało Jacoby'emu 286 marek, za które musiał **ubrać i wyżywić cztery osoby** i to ubrać je odpowiednio do zajmowanego przez siebie stanowiska, pokryć wszystkie wydatki na podręczniki szkolne, tramwaje, papierosy itd. i t. d.

Nie poruszając sprawy przestępstwa, jakiego dopuścił się prokurator, prasa rozwodzi się szeroko nad niskiem uposażeniem urzędników, którzy z biedy i z kłopotów materjalnych stają się bardzo często przystępni dla propozycyj pozornie niekiedy niewinnych, a wszedłszy raz na drogę szukania dodatkowych zarobków, trafiają potem przed kratki sądowe, a co gorsza, podkopują powagę władzy, którą reprezentują. Niskie uposażenie jest wręcz groźnem niebezpieczeństwem dla najwyższych interesów państwa i społeczeństwa, zwłaszcza, gdy chodzi o sądowników, o sędziów i prokuratorów. Państwo czyniąc ich niezależnymi w ferowaniu wyroków, zapomniało o tem, że przedewszystkiem trzeba ich uczynić niezależnymi materjalnie od świata, wśród którego tak doniosłą rolę mają spełnić. Jeżeli bowiem niema tej materjalnej niezależności, jeżeli skazuje się wręcz sędziego, czy prokuratora, aby w godzinach wolnych szukał dodatkowego zajęcia i dodatkowego zarobku, to już czyni się go w wielu wypadkach zależnym od tych, u których zarobek ten otrzymuje. A nigdy niewiadomo, czy taka zależność w pewnym momencie nie stanie się dla niego przeszkodą w swobodnem i niezależnem wykonywaniu obowiązku urzędowego.

Przepis na „List z Paryża"

Wiem, że niejeden z moich kolegów po fachu weźmie mi za złe porównanie, które zamierzam uczynić, ale myślę, że każdy z nich, w cichości ducha, musi mi przyznać słuszność I dlatego piszę...

W ciągu dnia wtorkowego wystukać muszę na maszynie feljeton dla „Prawdy". Ano, skoro trzeba! Od 8 rano siedzę przy biurku, na którym już leży cały stos gazet najrozmaitszych. Zawsze to samo — zanim — *ultima remedium,* pójdę do głowy po odpowiedni temat, próbuje szczęścia i przeglądam tę „bibułę" w nadziei, że przecież znajdę jakieś nowiny, plotki, sensacje, które pozwolą mi sklecić artykuł bez wysilania się na własny koncept. A porównanie?... Teraz przychodzi na nie kolej: w chwili, gdy biorę do ręki pierwsze z brzegu pismo, przypomina mi się sławetne: „*Fouillez, fouillez, fouillez!*", wykrzykiwane przez straganiarzy, zachęcających publiczność do szperania w ich „składach towarowych". A są to składy jedyne w swoim rodzaju! — na długim stole usypana jest góra trocin, przykrywających tanie świecidełka, fałszywą biżuterję i tym podobne „*articles de Paris*", starannie pochowane przez zręcznego przekupnia. Baraki takie stanowią niezbędny pierwiastek składowy t. zw. „*fêtes foraines*" — ulicznych zabaw ludowych, wędrujących od jednej dzielnicy do drugiej, a których główna atrakcja polega dzisiaj już nie na karuzelach samolotowych, menażerjach cyrkowych, młynach djabelskich, muzeach anatomicznych, etc., lecz na loterjach cukrowych, bilardach japońskich, ruletach fantowych, połowach szampańskich, etc., spekulujących na szeroko rozpowszechnione zamiłowanie do gier hazardowych. Do tego typu baraków jarmarcznych należy i „*stragan trocinowy*", w którym, za skromną opłatą, można przez kilka minut szperać i nawet, podobno, „doszperać się" szczero - złotego pierścionka, srebrnego medaliku, bursztynowej broszeczki i t d. Zdarza się to jednak rzadko bardzo, przeważnie bowiem wyciąga się ręce, pełne... trocin, co zapewnia utrzymanie całej rodziny przekupnia! Już chyba nie mam potrzeby stawiania kropki nad „i" i tłumaczenia, jakie jest pokrewieństwo pomiędzy wertowaniem prasy codziennej a szperaniem w „straganie trocinowym"...

Dziś rano sytuacja przedstawiała się fatalnie — „*Journal*", „*Matin*", „*Comoedia*", „*Volonté*", „*Pariser Zeitung*", „*Poslednija Nowosti*", etc., etc. nie zamieściły żadnej wiadomości, którą mógłbym ze spokojnem sumieniem i względną korzyścią dla czytelników przeflancować na grunt mojego „Listu z Paryża". Zwłaszcza, iż „politykę paryską" wziął w dzierżawę kolega Smogorzewski i, przyznać muszę, gospodaruje na tym folwarku doskonale. To też „*Populaire'a*" zacząłem przeglądać już bez żadnej nadziei na „wygraną", jakiż bowiem materjał do lekkiego feljetonu można znaleźć w centralnym organie francuskiej partji socjalistycznej?!... Słyszałem, że Pan Bóg niedowiarków karze. Nie wiem, co za pokutę ponoszą inni sceptycy, ale moje stanowisko „niewiernego Tomasza" w stosunku do „*Populaire'u*" zostało wynagrodzone, i to sowicie. Padła na mnie główna wygrana aktualnego tematu! Mogę nie suszyć sobie głowy — starczy na cały artykuł...

Pan *Augustin Suisse* ogłasza sensacyjne rewelacje w sprawie *Glozel'u.* Przedewszystkiem małe wyjaśnienie zasadniczej natury najzupełniej błędnem byłoby przypuszczać, że kwestja autentyczności igieł, tabliczek, piszczeli, czaszek i innych przedmiotów neolitycznego użytku domowego złożona została w lamusie gruntownie wyczerpanych tematów. W ciągu całego sezonu zeszłorocznego *Glozel* nie schodził ze sceny paryskiego życia „intelektualnego" (?!) — zapraszano specjalistów - uczonych na eleganckie „*jour'y*" i częstowano nimi gości razem z sandwiczami i herbatą; dawano w kabaretach i tinglach „*revues*" *z pokazem mniej lub więcej archeologicznych hurysek;* wytaczały sobie różne sławy profesorskie wzajemnie procesy o fałsz, obrzucając się przy tej sposobności stekiem obelg w najbardziej moderne stylu redagowanych; osoby w podeszłym wieku obawiały się, że kości ich, jeszcze za życia, zaliczone będą do muzealnych zabytków przedhistorycznych, etc. Słowem, szafowano tym biednym Glozel'em z inflacyjną wprost rozrzutnością, a mimo to, jak się okazuje, będzie on modny i w tym jeszcze sezonie, dzięki z wielką niecierpliwością wyczekiwanemu ogłoszeniu rezultatów *chemiczno - daktyloskopijno - antropometryczno - mineralogiczno - zoologicznej* — jakaż to skomplikowana jest dziedzina nauki! — ekspertyzie sądowej, mającej przynieść zupełną porażkę *pro-glozel'istom* z Salomonem *Reinach'iem* na czele. Ten ma pecha! — jak dalej w takim trybie pójdzie, stanie się jedynym w swoim rodzaju specjalistą od imitacyj archeologicznych...

Przepraszam, nie jedynym, właśnie bowiem p. Augustin Suisse wynalazł Reinach'owi towarzysza niedoli, któremu „neopolityczne skarby" Glozel'u winne są swojem istnieniem. Napoleon III, mianowicie, był namiętnym archeologiem i, chociaż posiadał mniej niż dyletancki zasób wiedzy, marzył o epokowych odkryciach naukowych. Ponieważ zaś cesarz jeździł co roku do *Vichy* na kurację gdzie nudził się szalenie, więc postanowiono uprzyjemnić mu przymusowy pobyt ten, schlebiając jego niewinnej manji. Pierwszy transport wzorowo podrobionych zabytków przedhistorycznych zakopano w pobliskiej *Gergovie* — Napoleon był niezmiernie dumny z osobiście przeprowadzonych poszukiwań, które dały, oczywiście, „wspaniałe" wyniki. Wobec takiego powodzenia, zdecydowano zainscenizować jeszcze kilka doniosłych odkryć w tym stylu, można przeto z wszelkiem prawdopodobieństwem zaliczyć i Glozel do owej serji fabrykatów archeologicznych które dlatego tylko nie zostały „zidentyfikowane" przez cesarza, że wybuchła wojna 1870 roku. *Fradin,* wierząc święcie w autentyczność swoich neolitycznych cudowności, wpadł w pułapkę, zastawioną niegdyś na Napoleona... I pociągnął za sobą cały szereg poważnych uczonych, łatwowiernych jak... Reinach.

Stąd doskonały temat do satyrycznych piosenek w kabaretowym sezonie zimowym, a dla mnie — do pokazania, jak się pisze „List z Paryża".

(Paryż)

Zygmunt St. Klingsland.

Horan

Człowiek ten o typowym wyglądzie nowojorskiego dedektywa, zdobył sobie europejski rozgłos przez to, że udało mu się wyłudzić z francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych kilka dokumentów, odnoszących się do tajnego układu morskiego, zawartego pomiędzy Anglją a Francją.

Horan był przedstawicielem amerykańskiego koncernu prasowego Hearsta na Francję i Belgję. Układ morski anglo - francuski ze zrozumiałych względów interesował najbardziej Stany Zjednoczone, jako to mocarstwo, przeciw któremu układ ten się zwracał. To też było do przewidzenia, że Stany Zjednoczone uczynią wszystko, aby zdobyć informacje o tym akcie. Nie ulega przeto wątpliwości, że Horan, otrzymawszy polecenie zdobycia tych szczegółów, działał nietylko jako przedstawiciel koncernu prasowego.

Horan przez dłuższy czas nie mógł zdobyć potrzebnych informacyj, a raczej dokumentów, gdyż nietyle chodziło mu o informacje ile o autentyczne dokumenty. Z kłopotami swemi zwierzył się pewnemu dziennikarzowi francuskiemu, który przyrzekł mu swoją pomoc. Dziennikarz posiadał stosunki w ministerstwie spraw zagranicznych. Zwrócił się więc do swoich znajomych w tem ministerstwie i począł oburzać się przed nimi na kłamstwa prasy zagranicznej i na niestworzone rzeczy, jakie wypisuje ona na temat zawartego porozumienia z Anglją.

Dał się na to złapać młody aspirant dyplomatyczny, który przypadkowo był w posiadaniu pewnych aktów, odnoszących się do układu, gdyż powierzono mu ekspedycję tych papierów do francuskich placówek dyplomatycznych zagranicą. Nie przeczuwając zapewne nic złego, i mając przed sobą francuskiego dziennikarza, dał mu do przejrzenia te papiery, pewny, że francuski dziennikarz nie zrobi z zawartych tam wiadomości niewłaściwego użytku, lecz conajwyżej wykorzysta znajomość pewnych szczegółów w tym celu, aby prostować przesadzone wiadomości w prasie zagranicznej.

Do tego miejsca wszystko zostało stwierdzone i jest już znane publiczności. To co się jednak stało potem, gdy dziennikarz francuski otrzymał papiery do rąk, w jaki sposób znalazły się one w posiadaniu Horana, i w jaki sposób zostały przez niego sfotografowane a oryginały zwrócone urzędnikowi w ministerstwie, tak że ten tego wszystkiego nie spostrzegł, to ciągle jeszcze jest tajemnicą i niewiadomo nawet, czy wiedzą o tem władze które prowadziły śledztwo.

Z początku nie wiadomem było, w jaki sposób treść dokumentów dostała się do prasy amerykańskiej. W kołach francuskich przypuszczano, że dokumenty te, których treść znana była pewnym kołom w Genewie, tamtędy dostały się do rąk dziennikarzy amerykańskich. Briand w jednem ze swoich przemówień nawet dość wyraźnie taką aluzję uczynił. Dopiero później w nieznany bliżej sposób — prawdopodobnie jednak drogą kontroli telegrafu — dowiedziano się, że sprawcą tej niespodzianki jest Horan, przebywający stale w Paryżu.

Horana aresztowano i przesłuchano. Dziennikarz amerykański stchórzył i wydał swego francuskiego kolegę, który pomógł mu przy zdobyciu dokumentów, podając równocześnie. że francuz uczynił to za wynagrodzeniem w kwocie 10 tysięcy franków.

Mimo, że istniały dostateczne podstawy, aby Horana osadzić w więzieniu i stawić przed sądem za współudział w kradzieży dokumentów, związanych z bezpieczeństwem państwa, władze francuskie ograniczyły się do wydalenia Horana z granic Francji.

Gdy ta decyzja władz francuskich dostała się do publicznej wiadomości, związek dziennikarzy angielsko - amerykańskich w Paryżu zwrócił się do ministerstwa spraw zagranicznych z protestem przeciw tej represji, stojąc na stanowisku, że rzeczą dziennikarza jest zbierać informacje, a rzeczą władz strzec swoich tajemnic. Dziennikarzom wyjaśniono jednak, że w tym wypadku Horan dopuścił się oczywistego przestępstwa, gdyż zbieranie informacyj nie może być w żadnym razie połączone z kradzieżą lub oszustwem. A w dodatku Horan dopuścił się najcięższego przewinienia zawodowego, wydając swego informatora i pakując go w tragiczną wprost sytuację.

Po tych wyjaśnieniach dziennikarze odwołali swój protest, wyrzucili Horana ze swego związku i pozostawili władzom francuskim wolną rękę w tej sprawie.

Zagadki, których jeszcze niewyświetlono

Jeszcze o ekspedycji gen. Nobile

W tych dniach powróciły do swoich macierzystych portów rosyjskich dwa łamacze lodów, „Krasin" i „Małygin", które w czerwcu wyruszyły na ratunek ekspedycji podbiegunowej generała Nobile i którym też udało się większość członków tej ekspedycji uratować. Gdyby nie te statki, oprócz generała Nobile, który skorzystał z pierwszej okazji, aby się uratować, może nikt więcej nie wyszedłby żywy z podbiegunowej pustyni lodowej.

Moskwa owacyjnie witała bohaterskie załogi łamaczy, urządziła na ich cześć szereg manifestacyj i oczywiście wykorzystała to wszystko dla swojej propagandy. Tymrazem nawet gniewać się o to nie można.

Ale powrót prof. Samoiłowicza, lotników Czuchnowskiego i Babuszkina, każe światu na nowo przypomnieć sobie tragedję „Italji" i postawić sobie pytanie, czy już i w jaki sposób wyjaśnione zostały zagadki i niektóre ciemne punkty w historji tej wyprawy. — Ostatnio bowiem słyszeliśmy, że Mussolini zarządzi przeprowadzenie szczegółowego śledztwa i rezultaty tego śledztwa poda światu do wiadomości. Tymczasem miesiące mijają, a ani o śledztwie, ani o jego szczegółach nic nie słychać.

Ekspedycja kosztowała **życie dwunastu ludzi,** a między nimi znajduje się **Amundsen,** wielki badacz strefy polarnej, **trzech bohaterskich francuzów i skandynawczyków,** którzy wraz z nim pośpieszyli z pomocą ofiarom przedsięwzięcia generała Nobile. Między nimi znajduje się młody uczony szwedzki **Malmgrem** i wreszcie **siedmiu** włochów, rodaków Nobilego. **Świat dotychczas słyszał tylko o grzmiących owacjach, zorganizowanych powracającemu generałowi w jego ojczyźnie,** ale **nic nie słyszał o żadnej manifestacji żałobnej na cześć tych dwunastu ofiar...** bodajże nie lekkomyślności, a przynajmniej nierozważnej brawury. Trzeba jednak zaznaczyć, **że Mussolini w owacjach tych udziału nie brał.**

Przypomnijmy sobie kilka najjaskrawszych faktów, faktów, nad któremi pod żadnym pozorem nie będzie mogło przejść do porządku dziennego śledztwo włoskie.

W drugiej połowie roku 1927 odbyło się w Berlinie zebranie towarzystwa dla badań podbiegunowych, w którem brał także udział Nobile. Na tem zebraniu była mowa o warunkach, wśród jakich musi się odbyć wyprawa do bieguna północnego, jeżeli ma przynieść jakiekolwiek rezultaty praktyczne. O cóż bowiem chodzi przedewszystkiem przy tych wyprawach? O to, aby zbadać olbrzymi szmat ziemi, czy morza, w okolicach podbiegunowych i poznać warunki klimatyczne i meteorologiczne, jakie tam panują, gdyż w miarę rozwoju komunikacji powietrznej droga przez biegun północny będzie najkrótszą drogą n. p. z Japonji do Ameryki północnej, do Anglji i krajów Skandynawskich. Fritjof Nansen i najwybitniejsi geografowie i uczeni ustalili, że **dla takiej wyprawy potrzeba bezwzględnie sterowca typu Zeppelina o sztywnej, metalowej powłoce i o pojemności conajmniej 150.000 metrów kubicznych.** Co do tego nie było żadnej różnicy zdań, że tylko sterowiec o metalowej powłoce może się oprzeć wpływom pogody, jaka panuje przeważnie w okolicach polarnych, że tylko tak wielki sterowiec może zabrać tyle paliwa i żywności oraz instrumentów naukowych, ile potrzeba na to, aby na biegunie zabawić conajmniej 10 dni i przeprowadzić potrzebne badania i obserwacje.

Co uczynił Nobile, powróciwszy z tego kongresu? Aby nikt go nie wyprzedził, a zwłaszcza, aby nie wyprzedzili go Niemcy, którzy właśnie wówczas rozpoczęli budowę odpowiednio wielkiego Zeppelina (tego samego, który w tych dniach poleciał do Ameryki), przystąpił do budowy swojej „Italji". Stocznia balonowa w Rzymie nie pozwala na budowę balonów większych ponad 25 metrów kubicznych pojemności. Nobile przystąpił do budowy sterowca jeszcze mniejszego **o 19 tysiącach metrów kub. pojemności,** czyli sześć razy mniejszego, niż za konieczne uznali najmiarodajniejsi ludzie nauki. Wybrał przytem typ o **powłoce półsztywnej,** coś w rodzaju Zeppelina, ale zbliżony do typu Parsifala. Nobile w dodatku miał sposobność — jako uczestnik wyprawy Amundsena na sterowcu „Norge" — przekonać się, że tezy uczonych były słuszne. Wiedział o tem, że wyprawa ta nie miała i nie mogła mieć żadnych celów naukowych z powodu małej pojemności sterowca i że tylko szczęśliwym trafem udało się jej przelecieć ze Szpicbergów przez biegun do Alaski. Sam zresztą twierdził, że podejmuje wyprawę ponieważ poprzednia wyprawa nie dała żadnych rezultatów naukowych.

* * *

Przy wyprawie polarnej więcej znaczy człowiek niż maszyna. Ludzie, których dobrał sobie Nobile różnili się gruntownie od wszystkich, którzy kiedykolwiek brali udział w wyprawie polarnej. Payer, Nansen, Amundsen, Peary, Scott, Sverdrup — wszyscy niejako od rekruta wyrastali w strefie podbiegunowej. Brali udział w wyprawach na wieloryby, miesiącami na sankach, zaprzężonych w psy, lub na nartach wędrowali wśród śniegów i lodów północnych, latami całemi przysposabiali swe ciało, nerwy, charakter i usposobienie do polarnych warunków i zamienili się niejako w eskimosów. Bo też trudno sobie wyobrazić, by do bieguna wybierać się mogli inni ludzie.

A jak wyglądała załoga „Italji"? **Tylko dwóch z całej załogi brało udział w poprzedniej balonowej ekspedycji Amundsena:** Malmgren i Nobile. A z tych tylko Malmgrem, który już w młodości towarzyszył Amundsenowi w jego wyprawach, miał doświadczenie polarne. Nobile był uczestnikiem **tylko trzydniowego lotu z Szpicbergów do Alaski ponad biegunem.** Jeszcze tylko dwóch czy trzech mechaników było wówczas razem z nim, **reszta nigdy na północy nie była,** składała się z mieszkańców słonecznej Italji.

* * *

A jakiem prawem Nobile zamianował się kierownikiem wyprawy? Gdzie zdobył potrzebne na to kwalifikacje? Amundsen, pod którego kierownictwem sterował statkiem „Norge", wystawił mu takie świadectwo: **„Jako nawigator wykazał najgorsze wady: niepewność, brak decyzji, nerwowość, brak skupienia, egzaltację i szybko tracił głowę".** Z szczegółowych raportów wyprawy Amundsena wynika, że gdyby nie przytomność umysłu innych członków ekspedycji, **Nobile byłby kilka razy wpakował statek na lodowce i roztrzaskał go.** W pewnym momencie, zdenerwowany kazał wyrzucić bagaż i ciepłe okrycia całej załogi, a po wylądowaniu oburzeni towarzysze spostrzegli, że Nobile przezornie nie wyrzucił swego zawiniątka, w którem miał błyszczący mundur pułkownika włoskiego.

Mówiono wówczas, że te szczegóły raportu Amundsena podyktowane zostały osobistą niechęcią do Nobilego. A jednak okazało się, że niemal wszystkie wytknięte przez Amundsena błędy, powtórzyły się w tej tragicznej wyprawie.

* * *

Już na początku lotu widać było, że nie wszystko jest w tej wyprawie w porządku. Już na pierwszym etapie Medjolan—Wieden okazało się, że „Italia" nie może przezwyciężyć średniosilnego wiatru zimnego. Do Stolp na Pomorzu przybyła „Italia" dość znacznie uszkodzona. Lotnicy niemieccy, obserwując manewrowanie sterowca przy lądowaniu ze zdumieniem potrząsali głowami.

Przed startem w Stolp, Nobile długo się wahał. Wkońcu polecił swoim włochom przedsięwziąć pomiary wiatru.

Okazało się, że wiatr jest tak silny, iż startować niepodobna, ale cyfry wydawały się nieprawdopodobne. Malmgrem zabrał się do skontrolowania tych wyliczeń i stwierdził, **że Włosi popełnili dziecinne wprost błędy rachunkowe.** A ci ludzie wybierali się do strefy podbiegunowej.

* * *

Pobyt na Szpicbergach trwał czternaście dni. W tym czasie zasypywano świat literackimi komunikatami, mówiącemi o cudach świata arktycznego, jak gdyby zapomniano, że do Szpicbergów każdego roku zawijają dziesiątki statków wycieczkowych i że cały świat zna tamtejsze „cuda polarne". A potem przyszedł pierwszy lot. „Italia" dotarła do kraju Franciszka Józefa i zawróciła rzekomo z powodu ciężkich warunków atmosferycznych. A tymczasem kraj ten jest najstarszem odkryciem arktycznem i bez żadnych trudności każda wyprawa może tam dotrzeć. **Świat powoli zaczął poznawać, że ma się tu do czynienia z bardzo naiwnymi nowicjuszami.** Potem nastąpił drugi lot. Nobile chciał ponad ziemią Franciszka Józefa dostać się do wyspy Mikołaja II. Wyspa ta w kilku miejscach nie została jeszcze zbadaną. Ale pomimo 69-cio godzinnego lotu Nobile do wyspy tej nie dotarł i musiał zawrócić od Nowej Ziemi. Przekonano się, że sterowiec absolutnie do większej wyprawy polarnej się nie nadaje. Tylko Nobile nie chciał tego uznać.

Nadszedł dzień 24 maja, data przyłączenia się Włoch do wojny światowej. Podobno z Rzymu przyszedł rozkaz, aby dzień ten uświetnić zrzuceniem flagi włoskiej na biegunie. Później z Rzymu kategorycznie zaprzeczano, by taki rozkaz został wydany. — Jednak po uratowaniu się, Nobile z rozpaczą wykrzyknął: „Gdybym nie był postanowił zatknąć (zatknąć!!!!) flagi włoskiej na biegunie w dniu przyłączenia się Włoch do wojny światowej!"

* * *

24 maja popołudniu nastąpił start. W czasie lotu wysłał trzy krótkie depesze. Ostatnia brzmiała: **„za 20 minut flaga włoska powiewać będzie na biegunie!"** I znowu przesada. Przecież nigdy nie myślał nawet o lądowaniu na biegunie i wbijaniu tam drzewca flagi włoskiej. O godzinie 1 min. 20 w nocy zrzucił flagę nad biegunem i zawrócił, widząc złą pogodę. Potem zaczął nadsyłać pełne irytacji i zdenerwowania pytania o stan pogody. Wieczorem dnia 25 maja znajdował się blisko północnego cypla Szpicbergów. Potem urwały się wszelkie wiadomości. Norweskie stacje meteorologiczne doniosły później, że w chwili, gdy zamilkły ostatnie depesze Nobilego w miejscu tem przeleciał cyklon. Czy zniszczył statek?

* * *

A potem nadszedł **cud krótkiej fali.** Zdarzyło się to, czego jeszcze nie było. Rozbitkowie w pustyni lodowej mogli wysłać w świat swoje wołanie o pomoc. Z depesz tych nie można wymiarkować prawdziwej przyczyny katastrofy. Nobile najpierw depeszował, że „Italja" zderzyła się z górą lodową, a potem **poprawił się,** mówiąc, że straciła zdolność unoszenia się w górę, że straciła w ciągu kilku minut 500 metrów wysokości i rozbiła się o lodowce. Ale przyczyny tego wszystkiego nie podaje. Czy nie przypomina się tu raport Amundsena, który mówi, że tracąc głowę, Nobile kilka razy wpakował statek na lodowce? Powtórzyło się jeszcze i coś innego. W pewnym momencie Nobile kazał wyrzucić cały bagaż z pokładu i wszystką żywność oraz aparaty. Całe szczęście, że kilkanaście metrów od tego miejsca spadła gondola „Italji" i rozbitkowie mogli wyrzucone zapasy pozbierać. Inaczej pomarliby z głodu.

A potem rozegrał się jeszcze jeden zupełnie nowy rozdział w historji wypraw polarnych: poszukiwanie „czerwonego namiotu", wyprawy lotników i zdumiewająca podróż „Krassina" i „Małygina".

Wiele rzeczy powinno wyjaśnić śledztwo, zapowiedziane przez Mussoliniego....

G. K.

Z nad brzegów Dniepru

Szkice, wrażenia, wspomnienia z podróży.
Trochę historji.

Dziwne losy dziejowe łączyły nas i odrywały pokolei od Kijowa i Rusi. Dziś patrzymy w tę stronę jako na ziemię nam obcą, bo dzieje, przesuwając przez nią różne narody, zdaje się, że wyparły z niej wszelkie ślady polskiego pokrewieństwa, polskiej kultury.

Burze narodowe, owe przelewanie się fal Awarów, Hunów, Węgrów, Pieczyngów, Połomców, Mongołów i w. in., po których tylko ruina zostawała, mają wielkie podobieństwo do tych zawichrzeń atmosferycznych, które niszczą wszystko bez celu i planu. Na szczęście istnieje historja, która skrzętnie zapisuje dobre i złe wypadki, a od chciwości i złośliwości ludzkiej chowa się w głąb ziemi.

Cóż to? Czy nie nudna historja, która nikogo nie interesuje? Nie, na wstępie muszę powiedzieć, że są to szkice z podróży, wrażenia, opisy, wspomnienia miejsc i czasu, nieraz bardzo dalekich, potrącanie o kości spróchniałe, które niewiadomo do kogo należały, stąpanie po kamieniach, których dotykały może stopy wielkich ludzi lub wielkich zbrodniarzy. Są to zatem gawędy o przeszłości i teraźniejszości, spisywane luźnie w miarę tego jak się w pamięci odtwarzały.

Dniepr, od Smoleńska po starożytną przeprawę na Tawani, w pobliżu tych miejsc, gdzie była grecka Olbia i turecki Oczaków, czyli prawa, górzysta strona Dniepru jest tak ściśle związana z historją Polski, że żadne słupy graniczne nie rozerwą tej więzi. Przez Smoleńsk wiodła najkrótsza droga do Moskwy. Zdobywali Moskale Warszawę, ale drogą na Smoleńsk ciągnęły hufce polskie, a chorągwie Władysława IV i Żółkiewskiego powiewały na Kremlu. Książę Józef Poniatowski, zdobywszy Smoleńsk, klucze od miasta i twierdzy wręczył Napoleonowi.

Nie zawsze zwycięsko ścieraliśmy się z Moskwą; bywało „kiepsko pod Witebsko, a koło Orszy jeszcze gorszy", a jednak długo nie pozwalaliśmy Moskwie przekroczyć Dniepru. **Była to kilkowiekowa walka Azji z Europą na pograniczu Dnieprowem,** gdyż Dniepr, według średniowiecznych geografów, **dzielił Azję od Europy** i niedaremnie nasi praojcowie nazywali Moskali Azjatami.

Posuwając się wysokim, górzystym brzegiem Dniepru ku południowemu wschodowi, zbliżamy się nareszcie do Kijowa. Ze statku parowego już od lesistego wzgórza, na którym stoi monaster, zwany Meżyhorski, błyszczą złociste kopuły cerkwi i widać, rozrzucone malowniczo na górach i płaszczyźnie nad Dnieprem miasto — **Kijów.** Między Dnieprem a Wołgą **jest to bezwątpienia najstarożytniejsza osada ludzka, sięgająca wiekiem w głębokie czasy prahistorji,** kiedy zapewne tworzyć się poczęły dwie potężne arterje komunikacyjne wodne — **Dniepr i Wołga,** biorące początek ze wspólnych źródeł Okowskiego lasu; Wołga dopływa do morza Kaspijskiego i historycznie zbliżyła północną i środkową połać dzisiejszej Rosji do turańskiego wschodu, stając się łącznikiem tego Wschodu z Bałtykiem. Dniepr wpadał do Czarnego morza i od 4-go wieku przed Chrystusem pobrzeże Czarnomorskie uległo wpływowi kultury starogreckiej tak dalece, że ślady jej, jako nieświadome naśladownictwo, ludność Podola, na dopływach Bohu i prawych Dniestru w wiejskiem budownictwie zachowała dotychczas.

Na pobrzeżu czarnomorskiem śród licznych kolonij greckich zasłynęła **Olbia,** którą niewątpliwie znał Herodot i w księdze Melpomena wiele ciekawych szczegółów zapisał o ludach zamieszkujących te kraje. Jakkolwiek ludom zamieszkującym na północ od Czarnego morza, dawał nazwy greckie, baśnie, podania i zwyczaje, jakie zapisał, świadczą, że były to ludy słowiańskie. Dla przykładu przytoczę opowiadanie jego **o braciach ślubnych:** Miało to być braterstwo moralne, łączące dwojga ludzi, tak silnym i nierozerwalnym węzłem, że jeden za drugiego nie wahał się głowy położyć. Braterstwo tego rodzaju, jako **„zadruga",** przechowało się dotychczas w Serbji, a nawet pod rozmaitą formą, łagodniejszą, dałoby się dziś jeszcze odszukać śród ludności ruskiej i polskiej. Równie ciekawą jest wiadomość o ludzie, który nazywa N e u r a m i, zamieszkującemi północne strony (ziemia Nurska), z których każdy w pewnej porze roku przemieniał się w wilka. Gadki o w i l k o ł a k a c h są dotychczas obfitym tematem pogadanek ludu wiejskiego, osobliwie na Rusi.

Tak więc daleka przeszłość wiąże się niewidzialną nicią historji z teraźniejszością.

Fala barbarzyńców, przepływająca perjodycznie przez stepy czarnomorskie, rozsadzała jak klin ludność miejscową; jedna jej część odpływała z barbarzyńcami i pustoszyła posiadłości rzymskie, druga uciekała na północ, zabierając z sobą swoje podania, baśnie i zwyczaje, aby w niepiśmiennej pamięci przechować je dla potomności.

Czytając Herodota, trzeba koniecznie mieć w pamięci, że był to człowiek łagodnego południa, należący do narodu o wysokiej kulturze, obdarzony nietylko fantazją artystyczną, ale stosujący tę fantazję do faktów realnych, na które patrzył oczyma południowca. Stąd też w języku jego pod formą metafory ukrywa się niekiedy zupełnie inne realne zjawisko. Gdy pisze np. o ludożercach, zamieszkujących północne obszary późniejszej Rusi, nie należy tego brać dosłownie, lecz w przenośni raczej, jako charakterystykę ludności o dzikim, barbarzyńskim stosunku do każdego obcego plemienia, które uważane jest za wroga, a zatem godne tępienia. Śnieg, którego nigdy w Atenach nie oglądał, przedstawia mu się jako „l a t a j ą c e p i e r z e". O Kijowie, w którym niektórzy upatrują kolonję Chionitów — ani słowa. Jest to wierutna bajka. **W wykopaliskach Kijowa nic, literalnie nic greckiego aż do epoki bizantyskiej nie znaleziono.**

Spójrzmy tedy z innego punktu na Kijów.

Sprawy celne, czy sprawy czelne

(Feljeton pisany w gniewie).

W zdrowym, krzepnącym z dniem każdym organizmie naszego państwa jest jedna ślimacząca i niegojąca się rana — jedna sprawa na którą słyszy się zewsząd tysiąc skarg: jest to **sprawa naszych urzędów celnych** i ich p r z e r a ż a j ą c e j nieraz działalności. Użyłem świadowie, z premedytacją z najgłębszem odczuciem wagi słowa, wyrazu „p r z e r a ż a j ą c e j" działalności. Przeraża się bowiem najstraszliwiej to wszystko, co o czynach tych urzędów słyszę, przeraża mię skutek tych czynów, zniechęcających cudzoziemców, najżyczliwiej dla nas usposobionych, do odwiedzania naszej ojczyzny. Nie papierowa propaganda zachęci zagranicę, by do nas przyjeżdżała, poznawała nas i obcowała z nami, lecz praktyczne zetknięcie się gości z dalekich lub bliskich krajów z naszym pierwszym urzędem państwowym, jaki napotykają na swej drodze: z urzędem celnym. Zarzutów oczywiście nie uogólniam. — W urzędach celnych są niewątpliwie znakomici urzędnicy, ludzie przepojeni jaknajlepszą wolą działania i jaknajpiękniejszym duchem patrjotycznym. Ale jeżeli mimo tego dziać się tam może to, co się dzieje, zdarzać to, co się zdarza, stanowi to wymowny i niestety aż nazbyt ważki dowód, że coś tam jest nie w porządku **ku bezsprzecznej szkodzie Państwa.**

Mały przykładzik z zagraniczno-propagandowego znaczenia spraw celnych na naszej granicy: W roku zeszłym odwiedził Polskę wiceprezes francuskiej organizacji łowieckiej „S a i n t H u b e r t C l u b d e France" p. Ducroq, skierowany tu przez naszą znakomitą i wielką przyjaciółkę, o której przyjeździe do Warszawy niedawno na łamach „Prawdy" pisałem, przez panią Różę B a i l l y.... Przyjechał do Polski, **jako gość Ministra Rolnictwa,** zaproszony na polowanie reprezentacyjne, pełen myśliwskiego entuzjazmu, pełen życzliwości dla nas i chęci poznania naszego kraju. Dla uniknięcia wszelkich możliwych komplikacji granicznych, **uzbroił się w pismo Ministra Chłapowskiego,** stwierdzające, iż przybywa tu, jako gość Ministra Rolnictwa, a mające na celu oszczędzenie mu wszelkich przykrości celnych, związanych z przewozem broni myśliwskiej.

Wynik tego był ten, iż p. D u c r o c q po nieludzkich szykanach, **po tańcu św. Wita od okienka do okienka** i od urzędnika do urzędnika, po zwróceniu mu w niegrzecznej formie uwagi, iż jadąc do Polski, powinien się nauczyć mówić po polsku, dowiedział się, że pismo Min. Chłapowskiego, że zaproszenie Min. Rolnictwa — wszystko to „n i c n i e z n a c z y". Gość cudzoziemski na progu naszego państwa odrazu został „u ś w i a d o m i o n y" tak, jakby się na to nie ważyła nawet najzacieklejsza, najnieprzyjaźniejsza propaganda wrogich nam czynników zagranicznych. Pomijam dalsze jego perypetje graniczne, związane z szykanami celnemi, dotyczącemi broni myśliwskiej, pomijam fakt, jak szkodliwem dla nas było **zestawienie tych szykan z pełnym grzeczności stosunkiem do podróżnego celnych władz niemieckich** i innych. Przyjaciel nasz, rwący się dosłownie do Polski, oblany został odrazu na progu jej rubieży zimną wodą szykan. Sprawa ta pociągnęła oczywiście konsekwencje. Lecz ta na pozór drobna sprawa staje się najwyższej doniosłości, jeśli się zastanowimy, ile Państwo nasze traci, przez zebranie się kilkudziesięciu czy kilkuset takich spraw? Sprawa taka staje się doniosłym czynnikiem p r z e c i w p o l s k i e j p r o p a g a n d y zagranicznej i szkodzi nam w oczach całej zagranicy. A spraw takich i temu podobnych są nie dziesiątki i nie setki, ale t y s i ą c e!

Weźmy inny przykład, dowodzący przerażającego **b r a k u l o g i k i** w wykonywaniu zarządzeń celnych przez „odnośne" organy.

Opowiadano mi przed paru dniami następującą historję, będącą „w toku urzędowania". Hr. S. z Woj. Poznańskiego, znakomita myśliwa i hodowczyni zwierzyny, sprowadziła sobie z zagranicy kilo czy też dwa **nasienia specjalnej odmiany błotnej koniczyny,** ażeby zasiać ją w wilgotnych miejscach lasu, jako karmę dla jeleni. Urząd celny w Zbąszynie przesyłkę zatrzymał z tem, iż koniczyna nie posiada świadectwa, że jest wolną od k a n i a n k i. Daremnie tłumaczono, że ten gatunek koniczyny błotnej wogóle nigdy nie cierpi na „kaniankę". Nic nie pomogło. W urzędzie odpowiedziano, że im tego nie wytłumaczy n a w e t s t o h r a b i n". Hr. S. zwróciła się zatem do urzędu z prośbą dania nasion na jej koszt do zbadania w Izbie Rolniczej w Poznaniu. **Kategorycznie odmówiono.** Urząd celny w Zbąszynie **urządził na powyższe nasiona licytację.** Kto da więcej, **ten dostanie. I bez względu na to, czy kanianka w nasionach byłaby, czy też nie,** ten szczęśliwy Iks nasiona koniczyny do kraju bez przeszkody wwiezie. Gdzie tu logika?

W stosunkach takich, o ile nie ulegną one zmianie w czasie najbliższym, **wszystko godzi w pożytecznego i uczciwego obywatela, działającego praworządnie.** Szmuglarze mają raj na ziemi.

Postępowanie urzędników celnych nielogiczne i **b e z m y ś l n e staje się nieraz szkołą szmuglu!** Posłuchajmy co się mówi w Polsce **o papierosach bez nikotyny, które palą setki wysokich dygnitarzy,** ale których sprowadzić legalnie nie wolno! Nie wiem, czy to prawda, czy też nie. Powtarzam to, **jako pogłoskę.** Ale każda pogłoska kryje w sobie ziarno prawdy, a tu najdrobniejsze nawet ziarenko przeraża!

Niech te kilka zrodzonych z oburzenia słów przyczyni się do tego, by czynniki miarodajne zwróciły uwagę baczniejszą na urzędników celnych i na to, co się na granicy dzieje. Dziś uwaga ta jest niedostateczna, zagranica się do nas zraża, obywatele polscy zmuszeni bywają **do pomijania dróg praworządnych,** czyniąc rzeczy godziwe.

Juljan Ejsmond.

Wspomnieliśmy już, że jest to najstarożytniejsza osada, a **przypadek odkrył, że zbliża się ona do okresu lodowców,** które niegdyś sięgały granic I r p i e n i a. Był to zapewne okres żłobienia się Dniepru, a może i Wołgi. Zatoki, nieujęte w stałe koryto rzeki, sięgały dzisiejszych wzgórz, zwanych Chorewica i Szczekanica. Od końca 19-go wieku znajdują się tu cegielnie. Przy pionowem kopaniu gliniastego wzgórza, **natrafiono na wielkie ogniska,** świadczące o osadach ludzkich. Ale rzeczą było jeszcze bardziej zadziwiającą, że **osady te, z okresu mamuta i nosorożca, leżały w pewnej wysokości jedna nad drugą.** Pozwala to przypuszczać, że skutkiem posuwania się lodowca na północ, namuł zalewał osadę. Mijał jakiś okres czasu, dzięki wodzie i lasom, które dawały żywność ludziom, na tem samem miejscu lub w pobliżu, nowe pokolenie, nieświadome przeszłości, zakładało nową osadę. Historję pisała wówczas tylko matka-ziemia, G e a, i to **nie złotem piórem, lecz katastrofami przyrody.** I dzięki temu dowiedzieliśmy się, że na wiele tysięcy lat przed kulturą kościaną, bronzową i żelazną, istniały jakieś inne w różnych miejscach, a nawet pod Kijowem.

Z najazdem Warego-Rusów — rozbójniczego plemienia — na północne okolice dzisiejszego Nowogrodu i Pskowa, rozpoczęła się nowa era historyczna dla północnych Słowian. Waregowie docierali Dnieprem do Carogradu, a chcąc się do niego zbliżyć, **wybrali sobie na siedzibę Kijów.** Obca ta, ale wojownicza i handlowa ludność, bez trudu poczęła pod władzę swoją zgarniać kraje i ludność w rozmaitym promieniu od Kijowa. Naczelnik tego rodu osiadł w Kijowie, a krewnym swoim i dzieciom rozdawał podbite kraje z prawem zależności od siebie. Ludność podbita, jak i obszary zdobyte, nie posiadała jednolitego nazwiska. Zaborcy dali nazwę od swego kraju i ludności. Na globusie znajdującym się w pałacu dożów w Wenecji, figuruje nazwa „Rusia", a kodeks prawny, ułożony przez księcia Kijowskiego, Jarosława, w 12-tym wieku, po raz pierwszy używa urzędownie, bo w sądownictwie, nazwy „Rusini" dla ludności, do której teraz przyczepiono polityczną nazwę — Ukrainy, szybko bardzo spopularyzowaną w naszej prasie dla ludności ruskiej Małopolski wschodniej i Wołynia.

Rurykowie, czyli potomkowie ks. Ruryka z Nowogrodu, bardzo trafnie ocenili wartość Kijowa, jako siedziby najwyższej władzy, gdyż przed ich przybyciem był już punktem handlowym między Dalekim Wschodem a Węgrami, Pragą czeską, Haliczem, Krakowem. Kraj podbity posiadał już wielkie drogi handlowe, wiodące od Tawani, przeprawy na Dnieprze, w głąb kraju, który od wieku 15-go poczęto nazywać „C z a r n y m", czyli „T a t a r s k i m s z l a k i e m". Wiódł on równolegle z Dnieprem do Kijowa, rozdzielając się w pół drogi na odnogi, wiodące na Wołoszczyznę, do Lwowa i dalej..

Z przyjściem Rurykowiczów rozpoczął się okres historyczny kraju i okres zetknięcia się Polski z Rusią.

R. G.

Co interesuje ludzi?

Amerykańskie sposoby propagowania czytelnictwa

W ostatnich czasach bibljotekarze amerykańscy zwracają szczególną uwagę na dokładne poznanie psychiki czytelnika. Cel tego badania jest wyłącznie praktyczny; chodzi o to, by ustanowić odpowiednie środki działania dla każdej grupy społecznej, by móc ją tem łatwiej przyciągnąć do bibljoteki.

Sposoby przyciągania publiczności do książki są najrozmaitsze. Zasadniczo jednak nie różnią się one od metody reklamy współczesnego przedsiębiorstwa handlowego. Jeśli chodzi o zwykłe zwrócenie uwagi, ustalono już oddawna cały szereg sposobów, lecz jeśli chodzi o sposoby oddziaływania na wolę człowieka — to w tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia. W jaki więc sposób pobudzić czytelnika do czytania książek? I jakich środków należy użyć w tym celu, by przyciągnąć do książki ludzi, pochodzących z różnych sfer społecznych np. obywateli amerykańskich, emigrantów, młodzież, kobiety?

W Cleveland (główne miasto jednego z wschodnich stanów) Bibljoteka publiczna postanowiła skontrolować w jaki sposób działają różnego rodzaju *listy reklamowe* na najrozmaitsze kategorje obywateli. Tekst listu reklamowego, zredagowanego w sześciu odmianach, opracował personel bibljoteki wraz z czterema specjalistami reklamowymi. Przy układaniu tekstu kierowano się następującemi względami: 1) List powinien być jaknajbardziej jasny (as strong as possible). 2) Jednakowo przekonywujący wszystkie kategorje adresatów. 3) Za wyjątkiem wstępu powinien być jednako zredagowany dla wszystkich kandydatów na czytelników.

Przy układaniu różnych odmian listów kierowano się względami na 1) powodzenie w dziedzinie danego zawodu (practical advancement), 2) Powodzenie w towarzystwie, 3) Miłość rodzicielską, 4) Rozrywki, 5) Zainteresowania specjalne, 6) Potrzeby kulturalne.

Do każdego listu dołączano spis książek i adresy bibljotek dzielnicowych. Oto treść jednego z tych listów:

Drogi przyjacielu! Czy nie ma Pan żadnego zainteresowania w dziedzinie sztuki dramatu, poezji, nauki? Czy nie żałował już Pan kiedyś, że nie miał sposobności poważniejszego zajęcia się wyszczególnionemi dziedzinami, wśród gwaru wielkiego miasta? Bibljoteka publiczna mogłaby Panu w tym względzie wiele pomóc. Wiedza przestała już być przywilejem tych nielicznych, którzy rozporządzają odpowiedniemi funduszami. Lecz sama szkoła dziś już nie wystarczy jeśli chce się zostać wykształconym człowiekiem. Potrzebne są książki. A książki pisze się dziś o tych wszystkich dziedzinach, które pozwalają człowiekowi nawet bardzo zajętemu, odczuwać wielką przyjemność przy ich czytaniu. Dołączony spis książek informuje o niewielu książkach, z pośród wielu tych, któremi rozporządza Bibljoteka Publiczna. Bibljotekarz bardzo chętnie pomoże Panu przy wyborze książek, a nawet gotów jest ułożyć Panu plan czytania, jeśli zamierza Pan zająć się czytaniem systematycznie. Piszemy ten list do Pana dlatego, iż nie znajdujemy jego nazwiska w spisie naszych abonentów i myślimy, iż — być może — Sz. Pan zdaje sobie sprawę z tego, jak wielką korzyść może mu oddać nasza bibljoteka. Bibljoteka Publiczna należy do Pana. Proponuję Panu swe książki i swoje usługi — bezpłatnie... Mamy nadzieję, iż Sz. Pan zainteresuje się nami bliżej.

Szczerze oddany, Linda A. Eastman, bibljotekarz."

Następują adresy bibljoteki centralnej i bibljotek dzielnicowych, na wypadek, gdyby adresat nie mógł korzystać z bibljoteki centralnej. Inne listy odróżnia od przytoczonego jedynie „sposób atakowania". Naprzykład:

1) Drogi przyjacielu! Czy chciałby Pan zarobić dużo pieniędzy? A czy zna Pan sposób, który pozwoliłby Panu pomnożyć zarobki? Oczywiście, iż bardzo się Panu przydadzą niektóre praktyczne wskazówki...

2) Drogi przyjacielu! Czy dzieci pańskie wychowują się tak jakby Pan sobie tego życzył? Czy są one tak zdrowe, piękne i szczęśliwe jak Pan o tem marzył? Przecież tak trudno wychowywać dzieci w wielkiem mieście...

3) Drogi przyjacielu! Czy nie lubi się Pan zabawić? A czy próbował Pan osiągnąć swój cel czytaniem książek o wielkich ludziach i ich czynach, o śmiałych podróżach, o Szerloku Holmesie?...

4) Drogi przyjacielu! Czy wie Pan jak długo człowiek istnieje na ziemi? Co Darwin powiedział o małpiem pochodzeniu człowieka? W jaki sposób dowiedzieliśmy się o składzie chemicznym słońca? Skąd rząd nasz czerpie pieniądze na wydatki? Co oznaczają pojęcia takie, jak „kompleks"... „witaminy"... „kapitalizm"... „faszyzm?"...

5) Drogi przyjacielu! Czy jest Pan jednym z nielicznych? Czy nie zauważył Pan, iż w każdem towarzystwie tylko nieliczni odznaczają się umiejętnością rozmowy i ścisłością wypowiadania swych myśli? Żadne pytanie nie wprawia ich w kłopot, a ich dowcipne i mądre odpowiedzi zdumiewają całe towarzystwo... Odpowiedź na te wszystkie pytania znajdzie Pan w książkach, których spis załączamy. Bibljoteka Publiczna służy Panu chętnie temi i jeszcze wieloma innemi książkami, poruszającemi szereg kwestyj życiowych.

Adresatów podzielono na grupy, kierując się względami na 1) narodowości, 2) płeć, 3) wiek (starszych ponad 35 lat i młodszych), 4) zawód (6 grup: robotnicy, rzemieślnicy, urzędnicy biurowi, drobni właściciele, wielcy handlowcy i pracujący umysłowo (professional). Spis obejmował 6000 ludzi, o których zaczerpnięto wprzód szereg informacyj, tyczących się ich wieku, miejsca urodzenia, zajęcia stanu rodzinnego i chwili przybycia do U. S. A. Rezultaty tego eksperymentu były następujące. Przeszło 1000 listów poczta zwróciła bibljotece z powodu zmiany miejsca zamieszkania przez adresatów. Z 4900 tych, którzy otrzymali listy, odezwało się 13 procent. Jeśli weźmiemy pod uwagę zwykłe rezultaty podobnej reklamy przedsiębiorstw handlowych, to dojdziemy do wniosku, iż procent ten jest dość wysoki. Co się tyczy zebranego materjału, to po odpowiedniej segregacji, uległ on dokładnemu opracowaniu. Analiza materjału stwierdziła, iż stosunkowo największym powodzeniem cieszyły się te listy, które apelowały do „miłości rodzicielskiej". Na listy powyższe odpowiedziało trzy razy więcej adresatów, aniżeli na listy bijące na „potrzeby kulturalne". Widocznie kwestja wychowania jest jedną z największych bolączek emigrantów. „Powodzeniem w zawodzie" najbardziej interesowało się duchowieństwo i wogóle osoby pracujące umysłowo. Robotnicy natomiast, bez względu na stopień kwalifikacji, odnieśli się do omawianej rubryki zupełnie obojętnie. Z udzielonych przez nich odpowiedzi można było wywnioskować, *iż troszczą się najbardziej o wychowanie dzieci i o powodzenie w towarzystwie.* „Powodzenie w towarzystwie" zainteresowało również w silnym stopniu *murzynów i urzędników biurowych.* Rubryką „specjalnych zainteresowań" zajęli się szczególnie handlowcy. „Rozrywki", przyciągnęły przedewszystkiem kobiety. Należy przypuszczać, iż ten rodzaj literatury nie wymaga specjalnej reklamy. Co się zaś tyczy „potrzeb kulturalnych" to tą rubryką zainteresowały się głównie osoby pracujące umysłowo.

L. R.

Skarb Welfów

Słynny skarb Welfów, mieszczący bezcenne okazy sztuki złotniczej, ma podobno być sprzedany do Ameryki. W prasie niemieckiej, która żywo poruszona została tą pogłoską, znajdujemy szereg artykułów, poświęconych skarbowi i omawiających jego historję. Z artykułów tych wyjmujemy kilka interesujących szczegółów.

Skarbem Welfów nazywa się jeden z największych i bezcenny pod względem artystycznym i historycznym zbiór relikwiarzy, należący do domu byłych książąt panujących Brunświcko-Luneburskich. W zbiorze tym znajduje się przedewszystkiem relikwiarz z czasów Henryka Lwa (1165) w kształcie świątyni z centralną kopułą, spoczywającą na dwunastu kolumnach. Jest to arcydzieło sztuki złotniczej i emalji.

Pozatem skarb Welfów obejmuje szereg arcydzieł sztuki złotniczej z okresu wczesnego chrześcijaństwa, a między innymi ołtarz przenośny z emalji, jeden z najstarszych zabytków chrześcijaństwa na północy.

W licznych relikwiarzach, pochodzących z najwcześniejszego średniowiecza, relikwie znajdują się jeszcze w pierwotnych jedwabnych osłonach.

Jeszcze przed 250 laty cały ten bezcenny skarb przechowywany był z nabożeństwem w katedrze brunświckiej, skąd został wywieziony jako łup wojenny do Hannoweru. Następnie skarb przeszedł do książąt Cumberlandu i przez jakiś czas znajdował się w Anglji.

Gdy Prusy zniosły dynastję hanowerską, skarb został uznany za prywatną własność dynastji hanowerskiej. Dynastja ta wywiozła go do Austrji. Dzisiaj skarb znajduje się w Szwajcarji, a jeden z wiedeńskich handlarzy sztuki otrzymał podobno polecenie wystawienia go na licytację w Nowym Yorku.

Niemiecka opinja publiczna domaga się, aby rząd Rzeszy uczynił wszystko, co uczynić można, by skarby te nie dostały się w ręce obce, lecz jako pomniki niemieckiej sztuki przeszły na własność narodu niemieckiego.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Refleksje muzyczne

Kubelik. — Kwintet paryski. — Muzyka kameralna. — Jak słuchać muzyki?

Siłą reklamy niebywałej, która z reklamą amerykańską mogła iść w zawody o palmę pierwszeństwa, zabłysnął ongi na firmamencie hjerarchji skrzypcowej Jan Kubelik. Nazwisko to zgórą lat trzydzieści suggestjonowało tłumy i nabrało z biegiem czasu jakiejś mocy popularnego preparatu, podobnie, jak „Odol" bądź „Kukirol". Otoczone one było taką aureolą świetlną, że większość opinji muzycznej uważała Kubelika, jako wzór bezkonkurencyjny intelektu odtwórczego, co osłabiało zgóry wrażliwość krytyczną słuchaczów. Istotnie Kubelik w swoim czasie budził sensację swą do bajecznych wyników doprowadzoną techniką, ale dzisiaj sztuka odtwórcza na inne nieco zwróciła się tory (Huberman, Szigeti, Flesch), choć i w samej technice ma Kubelik współzawodników, którzy zdystansowali go znacznie (Prihoda, Manen). A przytem sztuka odtwórcza Kubelika odnosiła rozmaite przeobrażenia, a był czas, kiedy ten „Paganini redivivus" (przydomek nadany przez sprytnego impresarja) na szereg lat występów publicznych zaniechał. To rozstanie się z estradą koncertową uczyniło w technice artysty nieobojętne skazy, które mimo przebłysków dawnej świetności, czynią zeń wirtuoza, w każdym bądź razie, nie pierwszej klasy. Towarzyszył mu na fortepianie doskonały akompaniator, prof. Otto Hassa.

Za to prawdziwą ucztę muzyczną zgotował nam kwintet paryski, którego zespół stanowią pp. René le Roy (flet), Pierre Jamet (harfa), René Bas (skrzypce), Pierre Grout (altówka) i Roger Boulmé (wiolonczela).

Muzyka kameralna we wszystkich kombinacjach instrumentów jest tym zarodkiem, z którego w dobie klasycyzmu rozwinęła się muzyka symfoniczna, ten najpiękniejszy język muzyczny, a zarazem najtreściwszy dla wypowiadania się twórcy. Od „Tria" począwszy, przestał Beethoven myśleć o wirtuozie i to jest w jego twórczości znamienne, ba nawet niektóre jego sonaty na fortepian i skrzypce lub wiolonczelę nie wolne są od wirtuozowskiego baroku, a nawet w Kreutzerowskiej sonacie jawi się wirtuozowski pierwiastek, świadczący o tem, że kompozytor myślał o wirtuozie, łaknącym zdobyczy w postaci oklasków za swą sprawność techniczną.

Kto zatem chce zdobyć największe zadowolenie estetyczne, musi się zwrócić do kwartetu, kwintetu, septetu, bądź muzyki symfonicznej. Mniemanie, że muzyka kameralna jest „ciężkostrawna", jest przesądem, który należy zwalczać — podobnie jak ten, że muzykę trzeba rozumieć. Uważamy dziś jedynie umysł za siedlisko rozkoszy artystycznej. Koncerty współczesne, uzasadniają w znacznej mierze taki punkt widzenia: umysł jest wytwórcą, więc jest zarazem i spożywcą. Pogląd ten jest w założeniu błędny. Nie pozwalajmy, by rozum zabił w nas uczucie; wskrzeszajmy w sobie rzeczy słyszane, poruszmy je w sercu, wyławiając uszami duszy najpiękniejszą muzykę dopóty, dopóki nie zdołamy przekonać świata, że dziedziną, właściwą muzyce, jest serce, nie rozum, że nie on zdolen jest sam z siebie pojąć ją, lecz zadanie to spełnia wewnętrzny zmysł słuchu, który we wspomnieniu odtwarza dźwięk za dźwiękiem, zapełnia je duszą i wszelkiego rodzaju treścią wrażeniową! Słuchanie rozumowe już dlatego jest szkodliwe, że izoluje zmysł słuchu od innych zmysłów. Normalnemu słuchaniu towarzyszą inne wrażenia zmysłowe, którym rozumowanie wyznacza stanowisko obserwacyjne, odmawiając im sądu samoistnego, podczas gdy z drugiej strony kojarzące się ze słuchem wrażenia zmysłowe stają na przeszkodzie rozumowaniu i muszą być wyłączone, jeśli pragniemy słuchać rozumowo. Gdy poddajemy się biernie działaniu muzyki, zjawiają się odrazu najrozmaitsze wrażenia zmysłowe i w tem tkwi tajemniczy czar muzyki. A więc, muzykę trzeba czuć, a nie rozumieć.

Refleksje takie nawinęły się piszącemu te słowa po wysłuchaniu programu w wykonaniu kwintetu paryskiego. Zespół ten składa się z artystów obdarzonych organizacją subtelną i czułą na prądy wszelakiego piękna. Odtworzyli oni po za „Serenadą" Beethovena, utwory kompozytorów francuskich, rozpoczynając od Couperin'a (wiek XVII), przeprowadzając nas przez gąszcze atonalnej muzyki do Vinceti'ego d'Indy, wyznawcy renesansu. Renesansowy prąd w kulturze muzycznej we Francji z roku na rok wzrasta, bo francuzi odczuwają potrzebę kultu dawnej muzyki („Schola cantorum", „Societé des instruments anciens". Wykłady Landowskiej w Saint Leu-la-forêt). Przy słuchaniu dzieł dawnych mistrzów odczuwa się potęgę nadzmysłowego świata: w tych dziełach niema miejsca dla ordynarnej zmysłowości, dla zwyrodniałych orgji, niema efektów fajerwerkowych, obliczonych na gruboskórność tłumu koncertowego nie znajdziemy też nigdzie schlebiania gustom, estetycznym komunałom i obskurantyzmowi.

To też dziwny spokój wiał z estrady i zalatywał powiew świeżości, kiedy ten zespół snuł cudowną tkaninę dźwiękową, jakby zwojów pajęczych, w których wątek to plątał się, to mijał, oddzielne głosy krzyżowały się w polifonji, by znów się rozstrzelić i zawisnąć na krańcach sali.

Feliks Halpern.

TEATRY WARSZAWSKIE

(Teatr Mały: „Oto kobieta!" — Komedja S. W. Maughama — wznowienie).

Teatry szyfmanowskie żyją teraz potrosze wznawianiem repertuaru przedwakacyjnego: Teatr Polski doniedawna wystawiał grany w czerwcu „Broadway", który dopiero ostatnio ustąpił miejsca „Przedmieściu" Langera (o sztuce tej napiszę w następnym numerze); w Teatrze zaś Małym oglądamy znowu znaną Warszawie z końca ubiegłego sezonu komedję Maughama p. t. *„Oto kobieta!"* Ponieważ rzecz ta grana była wówczas w czasie mojej nieobecności, widziałem ją teraz po raz pierwszy i dlatego pozwolę sobie pokrótce ją omówić.

Rodzina angielska z średniej sfery. Atmosfera domu — „postępowa": liberalna mama, córka weredyczka w okularach. Drugą córkę zdradza mąż. Shocking? Bynajmniej. „Poniżenie kobiety!" — krzyczy siostra zdradzonej, feministka. „Przesadzasz" — filozoficznie mityguje ją postępowa mama. A sama Konstancja? Jest wesoła, szczęśliwa i o niczem nie wie. Wtem katastrofa. Mąż kochanki Johna znalazł jego papierośnicę pod jej poduszką. Scena w kole rodzinnem w pełnym składzie. Ale sytuację ratuje nikt inny, tylko Konstancja: osłupiałemu rogaczowi tłumaczy, że to ona zostawiła papierośnicę pod poduszką Mary... Skąd ta wielkoduszność? Tajemnica. Konstancja jest nadal pogodna i daleka od cienia smutku.

Czyżby również miała kochanka? Nie. Bo Robert uwielbia ją tylko platonicznie, wierny Konstancji od jej czasów panieńskich. Ale oto John dowiaduje się z ust żony, że z tymże Robertem zamierza ona — poprostu wyjechać na kilka miesięcy do Włoch! Wprawdzie Robert nic nie wie, że ma towarzyszyć swej umiłowanej, ale kochankowie — wiadomo — sprytnie przyprawiają mężom rogi... John szaleje. Miłość do Konstancji wybucha w nim z nieznaną dotąd siłą. I nawrócony grzesznik, miotany zazdrością i rozpaczą, nie widzi jak wyjeżdżająca żona posyła mu od progu pocałunek najgorętszej, najtkliwszej i najwierniejszej miłości.

Ten gest Konstancji jest pointą, wyjaśniającą zagadkowe dotychczas pobudki jej postępowania. Wielki charakter na usługach wielkiej miłości: „Oto kobieta!" Już w samym tytule wyraził autor swój podziw dla własnej bohaterki. I odpowiednio ją wyidealizował. Ta kobieta, znosząca z maską pogodnego szczęścia na twarzy długotrwałą zdradę kochanego przez siebie męża i usprawiedliwiająca jego postępowanie, przyjmująca w swym domu jego kochankę z otwartemi ramionami i ratująca ją od kompromitacji — to jest jakiś fenomen charakteru, powiedzmy poprostu: dość nieprawdopodobny. Normalniejsze byłoby zrobienie sceny mężowi i skompromitowanie jego przyjaciółki, albo też rewanż przy pomocy Roberta lub wreszcie jedno i drugie. Ale — przyznajmy lojalnie — wtedy komedja byłaby bezbrzeżnie nudna i banalna. Tego niebezpieczeństwa uniknął Maugham szczęśliwie kosztem prawdopodobieństwa. Za to dał rzecz bardzo interesującą swą oryginalnością, ciekawym rysunkiem postaci Konstancji, a zwłaszczą mądrym, inteligentnym dowcipem, którego [illegible] bardzo łakniemy, my, znękani płaskością humoru Verneuilów i Scheinpflugów.

Swoją drogą figura bohaterki nie uwydatniłaby się tak fascynująco, gdyby rolę jej grała artystka mniejszej miary, niż Przybyłko-Potocka. Świetna artystka pokazała raz jeszcze że wielki jej talent utrzymuje się stale na wyżynach sztuki — bez względu na to, w jakim występuje repertuarze. Pogłębienie psychologiczne, prowadzenie dialogu, mimika i gest: słowem wszystko, od czego zależy wartość gry, było u Potockiej doskonałe. Inni aktorzy przyczynili się również do sukcesu przedstawienia: Grabowski, Romanówna oraz Modrzewska, która znowu pokazała, że talentowi jej odpowiadają o wiele lepiej role charakterystyczne (emancypantka w okularach), niż role amantek i pięknych uwodzicielek.

Ign. Wieniewski.

Teatry łódzkie

TEATR MIEJSKI.

„Proces Mary Dugan", Bayarda Veilera.

Przenoszenie na scenę walorów filmowych nie jest objawem nowym. Groźne współzawodnictwo kinematografu z teatrem wywołało potrzebę stworzenia tego nowego środka walki. Trik polega na tem, by dając sensację filmową, zastąpić specyficznie wzrokowe efekty ekranu równorzędnemi słuchowemi efektami sceny. Autorowi amerykańskiemu udało się to w znacznej mierze, gdyż tym suchym przewodem sądowym zdołał przykuć uwagę widza i urzymać go w napięciu — jak w filmie — do ostatniej chwili, w której rozkaz dobrotliwego monarchy przybiega na spienionym koniu i uwalnia z pod gilotyny niewinnego skazańca. Nie jest to oczywiście teatr, nie jest to tembardziej sztuka, ale duża liczba artystów ma pole do popisu, widzowie przeżywają dwie godziny łaskotliwego skupienia, kasa teatru usprawiedliwia rację swego istnienia, więc ktoby się tam zastanawiał nad zmartwieniem Melpomeny lub Talji...

Rzecz wystawiona i wykonana została na scenie łódzkiej bardzo dobrze. Wszyscy wykonawcy oddali swe role z trafnem wyczuciem sytuacji. P. Horecka miała godną lepszej sztuki szlachetność i wymowę milczenia i piękny umiar w akcentach krótkiego epizodu, w którym autor z milczenia ją wyzwolił. P. Krzemieński wykazał dużo szczerego zapału i sentymentu. Doskonały pod każdym

W obronie szczęścia małżeńskiego

Na niemieckim rynku wydawniczym pojawiły się dwie książki, poświęcone małżeństwu — trzecia jest w przygotowaniu. Autorem jest Dr. Th. H. Van de Velde. Książka pierwsza, to „Die vollkommene Ehe", druga: „Die Abneigung in der Ehe" a trzecia, zapowiedziana dopiero: „Die Fruchtbarkeitider Ehe".

Nie jest to ani powieść, ani pseudo-filozoficzne studjum z psychologji małżeństwa, ani wreszcie naukowe dzieło z zakresu medycyny specjalnej. Autorem tego, niedającego się podciągnąć pod żaden z utartych terminów recenzenckich, dzieła jest **lekarz, praktyk i uczony**, który się podjął oryginalnego i niewdzięcznego zadania **terapeuty nieszczęśliwych małżeństw.** Dzieło zaś samo, napisane w celu wyłącznie praktycznym, przeznaczone zostało przez twórcę dla szerokiego ogółu inteligentnych laików. Naukowa powaga i objektywizm wniosków, głębokie zrozumienie i odczucie konfliktów natury człowieczej, wreszcie przejrzystość i literackość układu i wysłowienia, stanowią walory tej oryginalnej książki, dzięki którym czytelnik niema ani chwili nużącego wrażenia przeciągającej się zbytnio prelekcji czy auskultacji lekarskiej.

Autor jest w jednej osobie doświadczonym lekarzem, uczonym przyrodnikiem, psychologiem, humanistą. Wszechstronność ta, łącznie z talentem popularyzacji, daje mu możność sprowadzenia najzawilszych zagmatwań współczesnej duszy ludzkiej do najprostszego nieprzekraczalnego schematu działań prapotęg czy prainstynktów i ogarnięcia tem samem, na podstawie głębokich analogij, zachodzących między p[illegible] życia fizjologicznego a psychicznego, całokształtu omawianych przeżyć człowieka.

Każdego wszakże, ktoby zwiedziony aktualnością tematu, szukał w wymienionem dziele jakiejkolwiek sensacji społecznej, czy erotycznej, lub spodziewał się w niem znaleźć demagogiczne, pseudonaukowe pójście na rękę tendencjom chwili bieżącej — należy przestrzec zgóry przed nabyciem tej, bądź co bądź, kosztownej książki. Znajdzie w niej bowiem sensację, lecz wręcz odwrotną od tej, o którą mu chodzi.

Dr. Van de Velde jest **zdecydowanym zwolennikiem małżeństwa**, uważa bowiem, że jako takie, t. j., jako dozgonne współżycie dwojga ludzi płci odmiennej, najlepiej odpowiada podstawowym popędom natury ludzkiej: popędowi płciowemu i społecznemu, oraz że w swej doskonałej postaci tworzy wyższy rodzaj jedności — jedność dwupierwiastkową. Daleki od wszelkiej stronniczości, zaznaczającej zgóry absurdalność porównywania wartości obu płci, staje autor na niemodnem dziś stanowisku uznania **naturalnej zależności pierwiastka kobiecego od męskiego**, a tem samem naturalnej supremacji tego ostatniego tak w społeczeństwie, jak i w małżeństwie — a to **zgodnie z prawami natury**, które nieodwołalnie określiły zarówno istotę jak i funkcje pierwiastków obu płci od komórki rozrodczej do skomplikowanego organizmu ludzkiego włącznie. Decyzjami amoralnej Natury, a nie **przewagą społeczną** mężczyzn, tłumaczy autor istnienie t. zw. „podwójnej moralności", uważając za przyrodzone powołanie kobiety — **macierzyństwo.**

Pomimo tak antyfeministycznego pozornie stanowiska, otrzymał autor po wyjściu pierwszego wydania szereg listów od mężczyzn, zarzucających mu **stronniczość na rzecz kobiet.** Świadczy to najlepiej o czystym, głębokim objektywiźmie pisarza, który otwierając oczy czytelników na beznamiętną i amoralną naturę zjawisk, potrafi być jednocześnie sprawiedliwie ludzkim sędzią i obrońcą tej z dwuch płci, którą natura, bardziej w odporności upośledzając, cięższemi wobec siebie obowiązkami obarczyła.

Po metodycznej i szczegółowej analizie ustala autor cechy właściwe pierwiastków męskiego i kobiecego i wzajemną tych ostatnich życiową **równowartościowość i różnorakość.** Określając męskość, jako energję kinetyczną, a kobiecość jako potencjalną, stwierdza, że zasadniczemi przymiotami pierwszej są: **agresywna aktywność, rozwinięta zdolność świadomego myślenia, siła woli egocentryczność;** podstawowemi zaś motorami czynności **żądza władzy i popęd płciowy.** Natomiast kobiecość cechuje **passywność, przewaga myślenia podświadomego, intuicyjnego, wrażliwość, zmienność usposobienia.** Poza tem natura, wiążąc każde fizjologiczne przeżycie kobiety z głębokim wstrząsem fizycznym, a więc i psychicznym, uczyniła ją biernie bezbronną wobec tego rodzaju urazów. Świadome czy podświadome poczucie swojego przyrodzonego upośledzenia wobec agresywnej odporności mężczyzn, stwarza w kobiecie podłoże **niewygasłego buntu przeciw niesprawiedliwości losu wogóle.** Mimo [illegible] wszelkie pozory przeciwne **jest dążenie do oparcia się i podlegania, — obok potrzeby macierzyństwa — najistotniejszą cechą kobiecości.**

Obie płcie podlegają przez cały ciąg życia jednostkowego dwum zasadniczym prapopędom: **wzajemnego pociągu i wzajemnej niechęci**, działającym z rozmaitem natężeniem, zależnie od wieku, konstytucji jednostki i okoliczności. Ta możliwość wszakże nieskończonej rozmaitości we wzajemnem ustosunkowaniu się tych biegunowo przeciwnych sił podlega również pewnym stałym regułom, któremi są: **ograniczone trwanie afektu miłosnego i nieodzowność zjawiska zniechęcenia w uczuciu**, jako chwilowej, normalnej reakcji, odprężenia. Przytem, oile afekt miłosny jest szczytowym punktem wzajemnego pociągu, o tyle w momencie odprężenia przychodzi do głosu **prainstynkt wzajemnej między płciami wrogości.**

Wahaniom powyższym podlega **każdy bez wyjątku człowiek;** im bardziej pełna i harmonijna w swym typie męskości czy kobiecości jest dana jednostka, tem łatwiej, normalniej, mija dla niej nieuchronny kryzys miłości; im zaś bardziej skomplikowane są typy zainteresowane, tem cięższemi powikłaniami grozi im przeprawa **na tamtą stronę uczucia.** Zwłaszcza poważnem, a często życie łamiącem przejściem, staje się ten punkt zwrotny **dla idealistów miłości**, którzy, wkładając (przynajmniej we własnem przekonaniu) wszystko w uczucie, żądaja wzamian również wszystkiego, [illegible] niezgładzonej „inszości" obu płci **jest i pozostaje nieosiągalnem.**

Zniechęcenie miłosne nawiedza zarówno związki krótkotrwałe, do których zaliczyć

względem epizod stworzyła p. Dąbrowska, dając świetnie narysowaną sylwetkę, w pewnej mierze stylową.

Reżyserja p. Boneckiego bardzo umiejętna. Efekt niespadającej zasłony niezawodny. Tego przecie nawet film dać nie może.

TEATR KAMERALNY.

„S i m o n a" — komedja J. Devala.

Teatr Kameralny wystąpił z komedją, nacechowaną tem, co krytyka teatralna francuska z lubością nazywa psychologją. Psychologja ta jest tem cudowna, że jest na cudach oparta i same cuda stwarza. Że jednak łamańce te podane są w formie bardzo umiejętnie prowadzonego djalogu i wytwarzają sytuacje naogół zabawne, więc słucha się tego dobrze mimo wątłej akcji, ryzykownie ,ale nie bez powodzenia rozciągniętej aż na 3 akty.

Zadaniem aktorów jest utrzymać uwagę widza w napięciu, nie dać mu opamiętać się i zasugestjonować mu wiarę w to, co widzi. Wykonawcy łódzcy w znacznym stopniu podołali tej trudności. Najlepiej udało się to p. Krotkemu, który z werwą i wdziękiem balansował po śliskiej kładce swej roli, skutecznie się broniąc przed łatwą szarżą. P. Grywińska, mimo nader odpowiednich i naogół świetnych warunków zewnętrznych, w poszczególnych tylko momentach zdobywała się na miękkość i wyraz, którego domaga się cała rola. Niestety jednak przeważały momenty sztywności i chłodu, dzięki czemu przeskoki z jednego stanu do drugiego zarysowywały się zbyt grubemi linjami, pogłębiającemi ich nienaturalność. P. Kijowski nie jest amantem. Jest jednak artystą zbyt utalentowanym na to, by rolę położyć. Gdy zatem dostaje nieodpowiednią dla swego talentu, to utrzymuje się w granicach poprawności. Tak jest właśnie w „Simonie".

Bardzo zręcznie rozwiązał zadanie dekoracyjne p. Mackiewicz, któremu udało się wydobyć z małej scenki maximum efektu.

emb.

Książki,

PIĘKNA KSIĄŻKA.

Coraz częściej zaczynają się pojawiać na rynku księgarskim książki wydane naprawdę pięknie, książki, których po przejrzeniu już się nie odrzuca, lecz chowa w szafie bibljotecznej, jako prawdziwą ozdobę. Jak dotychczas, najwięcej starania o szatę zewnętrzną książki, o dobór papieru, o wysoki poziom techniki graficznej, widzimy na niektórych książkach, wydanych przez *„Wydawnictwo Polskie"* w Poznaniu.

Mamy przed sobą tomik wierszy Kornela M a k u s z y ń s k i e g o — zbiór zatytułowany: *„Piosenki żołnierskie"* (Kornel Makuszyński „Piosenki żołnierskie" — Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Poznaniu). Tomik obejmuje 160 stron, a zawiera około 30 żołnierskich wierszy i piosenek, napisanych przez Makuszyńskiego w latach wojny polsko - bolszewickiej, zwłaszcza w ciężkim roku 1920. Drukowane były te piosenki w piśmie żołnierskiem „Żołnierz Polski", w oddzielnych tomikach i specjalnych odbitkach i dostarczane żołnierzowi w setkach tysięcy egzemplarzy na front, gdzie były mu źródłem humoru i wesela. Te piosenki przyniosły Makuszyńskiemu — słusznie i zasłużenie — nagrodę literacką rządową, pierwszą, jaka została przyznana.

Obecnie staraniem „Wydawnictwa Polskiego" ukazują się zebrane w jednym tomiku, I co za tomik. Drukowany na najlepszym papierze, chociaż pokaźny, lekki jest jak piórko. Okładkę zdobi niewielka artystyczna i przepiękna winietka, przedstawiająca galopującego ułana. Nazwisko autora i tytuł tomiku tłoczony antiqu'ą o rzadko pięknym kroju, na grzbiecie druga czerwona winieta z tytułem książki i nazwiskiem autora, podobnie jak na starych oprawach. A wszystko razem skromne, nienapuszone i... nie drogie. Na widok takiej książki raduje się serce każdego bibljofila, że oto książka polska pojawia się w tak miłej dla oka szacie.

* * *

W tych dniach ukazał się w tym samem wydawnictwie pierwszy tom na większą skalę zakrojonego cyklu p. t. *„Cuda Polski"*. Ma to być cykl monografij, poświęconych krajoznawstwu ziem i miast Rzeczypospolitej.

Pierwszy tom tego cyklu nosi tytuł *„Morze i Pomorze"* (Jerzy Smoleński „Morze i Pomorze" — Wydawnictwo Polskie, R. Wegner, Poznań).

Miłośnik książki znajdzie w tym tomie spełnienie swoich najtęskniejszych marzeń, jakie roił sobie, gdy czasem przeglądał wspaniałe dzieła grafiki zagranicznej. Instynktownie szuka się po przewróceniu kilku kart tej książki firmy drukarza, gdyż trudno uwierzyć by rzecz ta była zrobiona w Polsce, ręką drukarza polskiego. Zacznijmy od okładki: Kamil Mackiewicz narysował piękny nastrojowy obrazek z polskiego wybrzeża. Dzieło artysty reprodukowane zostało w oryginalnych kolorach. Wewnętrzna karta tytułowa ozdobiona jest reprodukcją fotografji jekiegoś czarującego zakątka na polskiem morzu. Na siedemdziesięciu kartkach książki znajduje się *stokilkadziesiąt fotografij*, reprodukowanych sposobem h e l i o g r a w u r o w y m. Niewiadomo co bardziej podziwiać, czy rzadko dotychczas spotykany wysoki i artystyczny poziom graficznej reprodukcji fotografij, czy talent artystyczny fotografów, którzy robili zdjęcia, czy wreszcie smak i pomysłowość, wykazaną przy rozmieszczaniu ilustracyj w tekście książki. Widać, że ktoś z wielką miłością zabiera się tutaj do wykonania wypieszczonego i wypielęgnowanego w sobie planu.

Jeśli w ten sam sposób wykonane zostaną następne tomy tego cyklu, poświęcone innym dzielnicom i większym miastom Polski, to całość stanowić będzie bezcenny skarb bibljofilski, perłę każdego polskiego księgozbioru.

Zaczęto od m o r z a i P o m o r z a. Pokazano je czytelnikowi tak piękne, takie jakieś swojskie i nasze, a jednocześnie wielkie, potężne, opromienione tchnieniem wielkiego, szerokiego, bezkresnego świata, którego jest bramą i przedsionkiem. Artysta fotograf na zdjęciach morskich i portowych potrafił wyczarować nieznane duszy polskiej perspektywy dalekich mórz i lądów. Oko chłonie je zachwycone, a serce szepcze radośnie: To nasze i dla nas droga na cały świat otwarta. Mamy i my nasze morze — mare nostrum — a maluczko już i zrozumiemy także, dlaczego mówi się: Navigare necesse est — vivere non est necesse. A gdy to zrozumiemy, gdy sens tych słów zapadnie w dusze nasze — wtedy staniemy się wielkim narodem.

Tekst p. Smoleńskiego daje wyczerpujący i wszechstronny opis Pomorza i wybrzeża polskiego. Jest to praca krajoznawcza o wysokiej i nieprzemijającej wartości.

DR. FILUT.

Tadeusz Ulanowski „Dr. Filut" — Warszawa, F. Hoesick. Str. 444.

Podczas czytania i po przeczytaniu tej książki doznaje się wrażenia, które porównać się daje najlepiej z tem, jakiego doznaje się w czasie i po bardzo efektownym fajerwerku. Dużo barw, dużo świateł, frapujące efekty, tylko, że przemijające. W dodatku tyle jest tego, że zanim zdążyło się wchłonąć jedno wrażenie, już narzuca się drugie, zupełnie nowe, inne. I często, zaledwie objęło się kształt i blaski jasno świecącej gwiazdy, lub wirującego koła, nagle z boków z sykiem wyskakują zygzaki ognistych wężów i przekreślają tamten obraz. Niepodobna chłonąć wszystkiego naraz, niepodobna wyrwać szczegółów z całości, niepodobna wszystkiego zrozumieć. Wrażenie końcowe wyraża się we wspomnieniu barwnej i przetkanej blaskami całości, z której kilka oderwanych szczegółów mocniej się w pamięć wraziło.

I jak po fajerwerku chciałoby się raz jeszcze zobaczyć to lub owo, tak i tę książkę zamyka się z tem, że jeszcze się do poszczególnych jej kart powróci.

Nie jest to powieść. Ta nazwa została nadana tej książce poprostu tylko w braku innej. Ani jednej cechy powieści w niej niema: ani jakiejś ciągłości opowiadania, ani wiążącej całość akcji, ani kolejności wydarzeń. Poszczególne rozdziały mogłyby bez szkody dla całości być czytane w dowolnym porządku. Wyjątek stanowią tylko te, które powiązane są samobójstwem por. Przygody. Dlatego też nietylko nazwa „powieść", ale i tytuł jest chybiony. Jakkolwiek bowiem autor patrzy na rzeczy oczami D-ra Filuta i przepuszcza zagadnienia przez pryzmat jego wielce oryginalnej umysłowości — niemniej nie Dr. Filut stanowi oś powieści, lecz to, o czem on mówi i myśli. Zatem tytuł, charakteryzujący nie treść, lecz raczej swoisty zupełnie rodzaj tej wiązanki rozpraw, artykułów, polemik, fantazyj, dumań, rojeń, nietylko byłby odpowiedniejszy, ale i nadawałby książce jej właściwe miejsce, które tytuł obecny bez potrzeby obniża.

Poszczególne rozdziały nie są równej jakości. Obok świetnych, uderzających trafnością spostrzeżeń i myśli, są i słabsze, zawilsze i pełne takich zygzakiem biegnących ścieżek, na których trudno jest czytelnikowi podążyć za autorem. Ale wszystkie wykazują żywą pracę czujnej myśli, wielkie bogactwo błyskotliwych zwrotów, materjału anegdotycznego, dowcipu, trafnych parodoksów, ciętej satyry. Na poszczególne podkreślenie zasługuje objektywność, z jaką autor, mimo wyraźnej zupełnie linji swych sympatyj, potrafi i przyciąć swym przyjaciołom i uznać przeciwników.

Jako przyczynek do przeżywanej przez nas epoki, książka p. Ulanowskiego jest i pozostanie nader ciekawym i godnym czytania dokumentem. Zapewne, że opisywane przez niego historyczne rozmowy nie odbywały się, nie mogły odbywać się tak, jak on je oddaje — ale opisy te, jako skonstruowane już na podstawie realnych wyników, niewątpliwie trafnie oddają główny i istotny ich sens — i to stanowi ich wartość.

Całość jest płodem bardzo oryginalnego talentu i myśli bardzo wrażliwej i wnikliwej; ale zbyt żywej dla przeprowadzenia analizy i zbyt impulsywnej dla stworzenia syntezy. Dlatego z kart książki przemawia zawsze raczej artysta, aniżeli myśliciel.

PLANY WYDAWNICZE „ROJU".

Znana i popularna firma wydawnicza „Rój" w Warszawie, zapowiada na sezon zimowy i wiosenny m. in. szereg przekładów głośnych dzieł literatury światowej, przyczem przekłady powierzono znanym osobistościom z polskiego świata literackiego.

Wydawnictwo zainicjowano słynnem dziełem Jerzego Bernanosa **„Pod słońcem szatana"**, które, ukazawszy się dwa lata temu, mając w pierwszym roku pół miljona nakładu francuskiego (nie licząc przekładów na wszystkie przodujące języki świata), doczekało się szeregu specjalnych studjów i monografji (m. in. w takiem studjum, zawartem w specjalnej książce, słynny krytyk Lefevre nazywa dzieła Bernanosa „najbardziej wstrząsającem odkryciem w ciągu mej działalności krytycznej". (Tłumaczył książkę Aleksander W a t.

Następnie „Rój" zapowiada w tej serji ukazanie się wielkiego trzytomowego dzieła kandydatki do nagrody Nobla, S y g r y d y U n d s e t p. t. **„Krystyna, córka Lawransa"** w tłumaczeniu Wandy K r a g e n, wielką epopeję pracy U p t o n S i n c l a i r a p. t. **„Nafta"** w tłumaczeniu Antoniny S o k o l i c z, słynne **„Zauberberg"** Tomasza M a n n a w tłumaczeniu dr. K r a m s z t y k a, **„Wilk morski"** H e s s e g o w przekładzie W i t t l i n a, oryginalnych **„Fauxmonneyeurs"** André G i d e'a w przekładzie Stanisława B a l i ń s k i e g o i Jarosława I w a s z k i e w i c z a i wreszcie subtelną **„Bellę"** w przekładzie Marji K u n c e w i c z o w e j.

Dotychczas literatura przekładowa szwankowała zawsze na punkcie... przekładu. Jedynie instytut wydawniczy „Renaissance" powierzał przekłady niektórych wydawanych przez siebie utworów z literatur obcych wybitnym siłom literackim polskim, jak n. p. Staffowi, Górskiemu i in. — olbrzymia większość przekładów, które zalewają od wielu lat nasz rynek księgarski dla braku twórczości polskiej, która zaspakajałaby wszechstronnie potrzeby czytelnika polskiego, pochodziła od tłumaczy anonimowych, nieposiadających najczęściej najmniejszych kwalifikacyj dla takiej pracy. To też z prawdziwem zadowoleniem notujemy fakt, że oto druga poważna placówka wydawnicza decyduje się zerwać z systemem dotychczasowym i wypuszczać będzie na rynek rzeczywiście przekłady głośnych utworów literatur obcych, a nie parodje.

Podręczniki

W. S z u m l a ń s k i: *„Pielęgnowanie ucha i ochrona słuchu"*. Książnica-Atlas 1928 r.

Broszurka ta napisana bardzo przystępnie, ma znaczenie dla każdego człowieka. Specjalną wartość posiada jednakże dla rodziców i wychowawców młodzieży, jako nieoceniony zbiór wskazówek dla higjeny narządu słuchowego.

F. P i a s e k: *„Nauka śpiewu metodą trójdźwiękową dla IV i V kl. szkoły powsz."* Psiążnica-Atlas. Lwów 1928 r.

Po klasach młodszych przychodzi kolej na IV i V-tą, dla których autor opracował specjalny podręcznik, uwzględniając w nim wszystko to, czego wymaga program Min. W. R. i O. P. Materjał zawarty w nim przedstawia już pewne trudności, które jednak dadzą się z łatwością pokonać po ugruntowaniu podstaw w klasach młodszych. Podręcznik bogato wyposażony jest w jedno- dwu- i trzygłosowe ćwiczenia, kanony i pieśni. Na szczególną uwagę zasługują wielogłosowe kanony i ćwiczenia w formie kanonu, które odznaczają się nadzwyczajną melodyjnością. Tak obfitego i dobranego pod względem metodycznym materjału nie zawiera żaden podręcznik.

F. P i a s e k: *„Nauka śpiewu metodą trójdźwiękową. Dla III kl. szkół powsz."* Książnica-Atlas. Lwów 1928 r.

Nowy podręcznik różni się zasadniczo od wydanych poprzednio tem, że autor przy zachowaniu swego systemu nauki, dostosował go ściśle do programu Min. W. R. i O. P., oraz istotnych potrzeb szkoły powszechnej. W bogatym, a nader urozmaiconym materjale, opartym przeważnie na swojskich motywach, autor konsekwentnie przeprowadza naukę czytania nut głosem, zachowując wszelkie trudności rytmiczne przewidziane w programie Ministerstwa. Sposób ujęcia i przeprowadzenia starannie dobranych, według stopni trudności nadzwyczaj melodyjnych i łatwo wpadających w ucho ćwiczeń nadzwyczajnie sprzyja pokonaniu wszelkich trudności.

należy i lekkomyślne małżeństwa, jak i **małżeństwa biorące siebie poważnie.** W normalnej swej postaci zjawia się ono przelotnie, powodując **konieczną pauzę,** po której następuje renesans naprężającego się znowu wzajemnego pociągu. O ile wszakże okoliczności (autor zna ich wiele i bardzo brzemiennych w następstwa), wpływają hamująco na prawidłowy rozwój i zadośćuczynienie popędu płciowego, zniechęcenie miłosne przekracza szybko swe normalne granice, **przechodząc w jaskrawych, chorobliwych odchyleniach we wstręt wzajemny, a nierzadko obopólną nienawiść.**

Zwalczaniu tego przyrodzonego wroga szczęścia małżeńskiego poświęca autor swe dzieło, traktujące zarówno o zapobieganiu jego przedwczesnemu lub chorobliwemu pojawianiu się jak również o leczeniu jego stanów chronicznych.

Za najskuteczniejszy, podstawowy środek zabezpieczenia się od najazdów rzeczonego zniechęcenia uważa autor przedewszystkiem **wydoskonalenie harmonji erotycznej między małżonkami,** za którą, jako za fundament małżeńskiego szczęścia **całkowitą odpowiedzialność ponosi mężczyzna,** a brak której w 99% stanowi ukrytą tragedję t. zw. „n i e d o b r a n y c h" małżeństw.

Drugim warunkiem jest **wzajemna, rozsądna i życzliwa wyrozumiałość,** oparta na uświadomieniu sobie biegunowo odrębnej struktury duchowej i fizycznej partnera, — przyczem tutaj **główny ciężar odpowiedzialności spada na kobietę.** Wreszcie trzecim, najtrudniejszym może do spełnienia warunkiem, bo wymagającym najwięcej dojrzałości i opanowania się, jest **umiejętność harmonijnego przekształcenia się, gdy czas nadejdzie, z pary kochanków w parę kochających się małżonków,** drogą naturalnego zaabsorbowania wyzwolonej z pod afektu energji w zadośćuczynieniu wymaganiom stawianym przez życie mężczyźnie (praca) i kobiecie (macierzyństwo).

Omawiając nadzwyczaj wszechstronnie wszelkie okoliczności, przyczyny, fazy i rodzaje powstawania zniechęcenia miłosnego, sięga autor głębokiem i współczującem wejrzeniem w rdzeń codziennych ścierań, szarpań i udręki tysiąca kochających się małżeństw, ukazuje pewną ręką znawcy ciał i dusz ludzkich te proste, a dzięki swej prostocie jakże bezwzględne przyczyny nieodłącznych pozornie niedoli pożycia małżeńskiego. Trzymając się w rozważaniach swoich jaknajbliżej życia i względów praktycznych, porusza autor w związku z tematem, szereg palących zagadnień doby obecnej, jako to: **usamodzielnienia się materjalnego kobiety powojennej, bezdzietności małżeństw** i t. p. zmuszając niejednokrotnie obie zainteresowane strony do gruntownej rewizji zajmowanego dotychczas stanowiska.

Dzieło omawiane zbyt jest poważnem, aby się dało bez uszczerbku dla siebie streścić w pobieżnym artykule. Poprzestając więc na ogólnem scharakteryzowaniu poglądów autora i zaznaczeniu linji wykładu, odsyłam czytelników do samego dzieła w przekonaniu, że każdy **On** i każda **Ona**, zagmatwani w odwiecznem nieporozumieniu dwuch płci, znajdą w niem doświadczonego powiernika i nieomylnego doradcę: uczy ona bowiem poznawać samych siebie.

Z. Erdman-Jabłońska.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Na zamówienie obcej agentury...

Tendencyjne kłamstwa „polskiego" korespondenta „Berliner Tageblatt'u"

Strajk łódzki, jak zwykle, skierował oczy całego kraju na wielki ośrodek przemysłu włókienniczego i dał wszystkim bez wyjątku organom prasowym, tak stołecznym, jak i prowincjonalnym, powód do zajmowania stanowiska. Dwie są jednak okoliczności, które wydatną większość wynurzeń czynią równie niedorzecznemi, jak jednostronnemi: rachuba na popularność wśród czytelników i bezgraniczna nieznajomość warunków specjalnych przemysłu włókienniczego wogóle, a łódzkiego w szczególności. Rachuba na poczytność każe zajmować stanowisko za wszelką cenę przeciwprzemysłowe, więc mówi się byle co: poszukiwacze łatwych zysków, arriwiści i parwenjusze, wyzyskiwacze, pozbawieni światopoglądu gospodarczego, domagający się stale państwowej pomocy i przywilejów, twórcy chaosu i zamętu i t. d. Mniejsza o to, że połajanki nie stanowią argumentu, a zarzuty są tak gołosłowne, iż zapytani o dowody, oskarżyciele ci nie potrafiliby ich dostarczyć: to dobrze brzmi, więc mniejsza o prawdę i o ścisłość. Gdyby któregokolwiek z autorów tych napastliwych artykułów poprosić o wskazanie racjonalnych sposobów zmiany i naprawy tych tak ostro przez nich krytykowanych stosunków, to oczywiście odpowiedzi udzielićby na to nie potrafili, bo postawieni przed zawiły problem ustosunkowania się do konjunktur włókienniczych — problem, z którym od lat boryka się już cały świat, a który w chwili obecnej jest przyczyną wielkiego lokautu w przemyśle włókienniczym w Nadrenji — dopieroby zrozumieli, z jaką lekkomyślnością i powierzchownością poważyli się krytykować rzeczy, o których nie wiedzą nic, lub mało, a o rozwiązanie których kusić się nie mogą. Nawet zarzuty p. Dewey'a, zresztą nader ogólnikowe i nieumotywowane, oraz Komisji Ankietowej, cytowane bezkrytycznie, nie nadają wystąpieniom podobnym pozoru większej powagi, bo cytowane za kim innym i nieprzepuszczone przez filtr własnego ujęcia inkryminacje muszą z konieczności stanowić uderzenia w próżnię.

Polemizować z tem nie można, raz, bo jest tego za wiele, by móc na wszystko odpowiadać, a powtóre, bo każda odpowiedź zamienićby się musiała w rozprawę, wykładającą przedewszystkiem pewne elementarne pojęcia, bez znajomości których krótka odpowiedź rzeczowa nie mogłaby poprostu być zrozumiana.

Wobec tego przemysł włókienniczy, a zwłaszcza najmocniej atakowany łódzki, musi pogodzić się z konieczności — do czasu przynajmniej — ze swoją izolacją i z tem, że pisze się o nim tylko wtedy, gdy można mu czynić ostre zarzuty, a milczy, gdy w skupionej pracy twórczej nie zwraca na siebie uwagi społeczeństwa. Trudno o jaskrawszy tego przykład, jak głuche milczenie prasy o podjętej przez przemysł łódzki akcji budowy domków robotniczych. Jeżeli nawet można darować tej tak głośno krzyczącej dzisiaj prasie, że nie interesuje się zagadnieniami gospodarczemi przemysłu włókienniczego, bo na nich się nie zna, lub mało, to trudno równie pobłażliwie traktować jej obojętność dla tego poczynania społecznego o szerokim rozmachu i zakresie i o doniosłości tem większej, iż dotyczy nietylko klęski lokalnej, ale ogólnokrajowej, jaką jest brak mieszkań i martwota ruchu budowlanego.

Obojętność ta ma swe źródło w tej samej ideologji, która nakazuje całkowitą pasywność opinji publicznej w stosunku do nader ciekawych objawów, towarzyszących strajkowi obecnemu, jako to ogłoszenie strajku powszechnego, mimo wypowiedzenia się Rządu co do podstaw likwidacji zatargu, przyłączenie się doń Magistratu Łódzkiego włącznie z wiceprezydentami i ławnikami, wciągnięcie doń Kasy Chorych, która odmawia nietylko pomocy doraźnej, ale i odnawiania opatrunków. A przecież to chyba stanowiłoby nader ciekawy i zasługujący na bliższe rozważenie temat?

Gdy jednak wśród licznych głosów, na które odpowiedź jest dla wskazanych powodów trudna, lub niemożliwa, odzywa się i jeden, tem szczególniej znamienny, że pochodzący od rzekomego dobrego znawcy warunków, a w dodatku wypowiadający się na łamach prasy zagranicznej, to nie można nie opuścić stanowiska biernego milczenia.

Mamy na myśli korespondencję zamieszczoną w „Berliner Tageblacie" z dnia 14 b. m., a podpisaną przez „specjalnie wydelegowanego do Łodzi własnego *polskiego* korespondenta", p. Dr. Fritza Seiftera.

O informacjach tego pisma i ich wartości pisano na naczelnem miejscu ostatniego numeru „Prawdy" — ale dotyczyło to roboty politycznej, mającej swoje własne cele i drogi do nich prowadzące. Inaczej jednak oceniać należy przyczynek zamieszczony w dziale handlowym, i mający pozory fachowego ujęcia zagadnienia.

Uderza w tem przedewszystkiem tak daleko idący brak informacyj źródłowych, że zapewnienie, iż korespondent ten został specjalnie wydelegowany do Łodzi, wzbudzać musi jaknajpoważniejsze wątpliwości.

Bo nie może z Łodzi pochodzić wiadomość, jakoby strajk obejmował 150.000 robotników i jakoby przybrał rozmiary, jakich nigdy jeszcze od czasu istnienia państwa polskiego żaden strajk nie osiągnął. Wprost przeciwnie: korespondencja datowana z dn. 12 października, gdyby miała zawierać prawdę, stwierdzićby musiała, że strajk obecny jest bodaj pierwszym, który nie objął odrazu całego przemysłu włókienniczego b. Król. Kongres. Wszystkie wielkie zatargi we włókiennictwie obejmowały dotąd regularnie jednocześnie wszystkie ośrodki, więc i Częstochowę, i Zawiercie i Sosnowiec, i Warszawę, i Żyrardów, a wbrew tej tradycji właśnie strajk obecny zlokalizował się tylko na Łódź i najbliższe jej okolice. Nawet Tomaszów pracował do 15 b. m., a fabryki w Częstochowie, Zawierciu, Sosnowcu i Żyrardowie pracują bez przerwy nawet i po 15-tym. Zatem pod względem zasięgu swojego obecny strajk włókienniczy raczej nie dorównywa dawniejszym.

Nie ze źródła miarodajnego również musiał się p. Dr. Seifter dowiedzieć o tem, iż koszty utrzymania wzrosły od czasu ostatniej podwyżki, która miała miejsce w roku zeszłym. Przedewszystkiem bowiem ostatnia podwyżka przyznana została robotnikom nie w zeszłym roku, lecz w czerwcu r. b. i wtedy właśnie udzielona 6-procentowa podwyżka w całości wyrównywała wzrost kosztów utrzymania, wyrażający się w stosunku 5,5-proc. Od czasu zaś tej czerwcowej podwyżki do chwili obecnej indeks kosztów utrzymania nietylko nie wzrósł, ale przeciwnie nieco się nawet obniżył.

Mimochodem tylko zaznaczając, że p. Dr. S. ocenia ludność Rzeczypospolitej na 20 miljonów, co jak na *polskiego* korespondenta dosyć jest dziwne, przechodzimy do realnej oceny polskiego wywozu włókienniczego w oświetleniu p. korespondenta.

Tak tedy wywóz *tkanin bawełnianych* wynosił według niego w r. 1927-ym 72 miljony złotych, w 8 miesiącach zaś r. b. wyniósł zaledwie 23,7 milj. co przerachowane na okres całoroczny wyda w najlepszym razie 30 miljonów (według jakiej arytmetyki?)

Jest to niezwykle ciekawa konstrukcja cyfr: za rok 1927 p. Dr. Seifter podaje, jako sumę wywozu tkanin bawełnianych, *sumę wywozu ogólnego z okręgu łódzkiego, więc obejmującą również wywóz tkanin półwełnianych i wełnianych i przędzy wełnianej.* Wywóz ten wynosił 71.801 tys. zł., zatem okrągło 72 miljony. Tej sumie zaś p. S. przeciwstawia wartość wywozu tkanin bawełnianych w pierwszych 8 miesiącach rb., przyczem o dziwo, *już nie popełnia analogicznego błędu, lecz naprawdę poprzestaje na sumie samego tylko wywozu bawełnianego.* Jest w tem wprawdzie drobna nieścisłość, gdyż faktycznie wywóz ten wynosił nie 23,7 milj. lecz tylko 22,8 milj. — to wszakże przypisane być może mimowolnej omyłce rachunkowej.

Cel tej roboty jest jasny: świadomie podwyższona podstawa porównawcza przejaskrawia rozmiar spadku wywozu. Bo gdyby p. S. chciał pisać prawdę, to musiałby stwierdzić, że owej sumie 72 milj. w r. 1927 odpowiada w pierwszych 9-ciu miesiącach r. b. suma 45 miljonów (ściśle 44.990 zł.), która przerachowana na cały rok, wynieść powinna 56—57 miljonów. Gdyby był głębiej wniknął w zestawienia Związku Eksportowego (które najwidoczniej nie są mu obce), musiałby przytem stwierdzić, że lwią część tego ubytku stanowi zmniejszony wywóz do Rumunji, która wobec panującego tam ostrego kryzysu płatniczego stała się rynkiem nader ryzykownym i wymagającym zdwojonej ostrożności. Byłby mógł dalej skonstatować że w przeciwieństwie do wywozu na rynki europejskie, wywóz na rynki pozaeuropejskie (Bliski i Daleki Wschód, Ameryka południowa, Afryka południowa) wykazuje wybitną tendencję zwyżkową: gdy bowiem eksport na te rynki wynosił w r. 1926-ym 9,6 milj. zł., a w 1927 roku 19,5 milj. zł., wyniósł w I półroczu r. b. 12,8 milj. zł., co w przerachowaniu na cały rok każe się spodziewać sumy 25,6 milj. Wreszcie gdyby chciał być uczciwie ścisłym i w wywodach swoich poprzestać naprawdę tylko na wywozie tkanin bawełnianych, to musiałby za rok 1927 podać sumę nie 72 milj., lecz 50,9 miljonów, jej zaś przeciwstawić zapowiadającą się na rok bieżący sumę 34,2 milj.

Ale że takie rewelacje nie byłyby w dostatecznej mierze ucieszyły czytelników „Berliner Tageblattu" więc p. Seifter wolał świadomie sfałszować prawdę i nagiąć cyfry do upodobań tych sfer, którym jako *polski* korespondent pisma niemieckiego pragnie dogodzić.

Dla lepszego jeszcze dogodzenia im p. Seifter nie może wyrzec się pokusy zacytowania i tego jeszcze, że w r. 1927 ogólnej sumie przywozu włókienniczego wynoszącego 440 milj. zł., przeciwstawia się po stronie wywozu zaledwie suma 85 miljonów, co wydaje saldo bierne w wysokości 355 milj. To w języku p. S. nazywa się bilansem włókienniczym — i tak jest naprawdę. Jeżeli jednak cyfry te przytacza się dla ilustracji obrotu zagranicznego i oceny wynikającego z tego stosunku między przywozem i wywozem, to p. Seifter, jako ekonomista, powinienby rozumieć, że nie można stosunku tego wyprowadzać z cyfr ogólnego przywozu łącznie z surowcami z jednej strony, a z drugiej z cyfr wywozu, obejmującego znikome tylko wartości surowca. Sprowadzanie surowca jest koniecznością nieuniknioną i z małemi wyjątkami dla wszystkich państw jednakową. Gdy więc chodzi o ustalenie prawdziwego stosunku przywozu do wywozu, to porównywać ze sobą można tylko cyfry, dotyczące wyrobów i półproduktów tak po jednej, jak i po drugiej stronie. Ale i to byłoby znowu niedogodne dla wyraźnej tendencji, w której p. Seifter korespondencję swoją opracował.

Dla tej tendencji niespożycie przysłużył się p. Seifterowi doradca finansowy Rządu, z raportów którego p. S. z lubym uśmiechem cytuje ostre zarzuty zresztą samowolnie przez p. S. wydatnie przesadzone i uzupełnione. Tłustemi czcionkami zaakcentowany jest brak regulatora dla kalkulacji i narzędzia dla badania konjunktur dla zbytu wewnętrznego i zagranicznego. Nie przypominamy sobie wprawdzie by p. Dewey coś podobnego z wyraźnem zastosowaniem do przemysłu włókienniczego pisał — ale mniejsza o to: polski przemysł włókienniczy niewątpliwie byłby bardzo wdzięczny p. Seifterowi, gdyby, nie poprzestając na samym tylko zarzucie, wskazał mu w tej mierze przykład do naśladowania, t. j. poinformował go, w którem to państwie przemysł włókienniczy posiada, i jaki, regulator dla kalkulacji, i posługuje się, i jakiem, narzędziem dla badania konjunktur. Również przez wskazanie wzorów zorganizowanej pod względem jakości i ilości produkcji włókienniczej w innych krajach p. Seifter mógłby się przemysłowi polskiemu dobrze zasłużyć. Jeżeli jednak przykładów i wzorów tych pokazać nie potrafi, to temsamem zarzuty swoje, rzucone na łup opinji zagranicznej, napiętnuje jako intencjonalnie złośliwe, bezpodstawne i gołosłowne.

Niczem innem jest również przytoczenie za p. Dewey'em omyłki z jego ostatniego raportu, dowodnie sprostowanej i wyjaśnionej przez nas na tych łamach przed szeregiem tygodni.

Demagogiczne zakończenie korespondencji, stwierdzające, że płace robotnicze łódzkie są daleko niższe od płac w państwach sąsiednich, dowodzi, że p. Seifter nie zadał sobie trudu porównania płac polskich z czeskiemi i że na wiarę tylko zaryzykował nieskontrolowane twierdzenie, by móc w należnym pokłonie w stronę związków robotniczych uznać za słuszne, że robotnicy sprzeciwiają się temu, by skutki i ciężary wszystkich niedomagań przemysłu były ponoszone tylko przez nich.

Jest w tem właśnie tyleż prawdy, ile w całej reszcie sławetnej korespondencji.

M. B.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Sprawozdania co do szczegółów propozycyj ugodowych w sporze między towarzystwem ubezpieczeń *„New York Life Insurance Company"* a zrzeszeniami ubezpieczonych na obszarze państw bałtyckich podają, że naskutek szans wszczętych zasadniczych procesów, towarzystwo to zaproponowało popierającym zrzeszeniom *15 cent. amer. za dawniejszego złotego rubla.* Obecnie jednak towarzystwo ubezpieczeń, chcąc uzyskać umorzenie procesu podwyższyło kwotę do 20 centów. Reszta ubezpieczonych w rublach ma otrzymać 12 centów za rubla. Ubezpieczeni obywatele państw bałtyckich mają więc naskutek zwartego wystąpienia widoki uzyskania 25—40 procent wartości swych ubezpieczeń w złocie.

* * *

Według wiadomości z Filadelfji Związek Amerykańskich Bankierów uchwalił możliwie ograniczyć udzielanie kredytów giełdowych przez sfery, poza bankami stojących. Uchwała ta skierowaną jest *przeciw zwyczajowi wielkich koncernów przemysłowych przejściowego wypożyczania swych wolnych kapitałów, jako kredytów giełdowych ze względu na wysokie stawki procentowe. Wykonanie tej umowy ma być pozostawione poszczególnym Federal Reserve Bankom.*

* * *

Jak rumuńskie pisma donoszą, zarząd rumuńskich kolei państwowych wydał kasom swym *dyspozycję co do uskuteczniania wypłat, które równają się prawie otwartemu moratorjum.* Według tych dyspozycyj, należy dostawcom kolei przy pretensjach między 100,000 a 500,000 lei wypłacać najwyżej 100,000 lei każdemu, a za dawniejsze rachunki kwoty, które wahają się od 20—30 proc., przy pretensjach do 1 miljona 100,000 lei, a na poczet reszty 12—20 proc., powyżej zaś miljona, prócz zasadniczej kwoty 100,000 lei 5,7 proc. pozostałej pretensji. Dyspozycje te odnoszą się rzekomo tylko do rumuńskich wierzycieli kolei.

* * *

Wzrost polskiego eksportu węgla przez Gdynię zaznaczył się również i we wrześniu. Podczas gdy w sierpniu r. b. wyeksportowano przez Gdynię 163,185 tonn węgla, przeładowano we wrześniu już 192,316 tonn. Temsamem w pierwszych 9-ciu miesiącach 1928 r. polski eksport węgla przez Gdynię wynosi nie mniej niż 1,293,408 tonn. Szybki rozwój portu w Gdyni wynika z tego, że w tym samym okresie roku przeszłego eksportowano przez Gdynię 588,452 tonn węgla.

* * *

Jak wiadomo, panuje w Japonji *zakaz wywozu złota.* Pomimo dążności tamtejszych sfer bankowych na rzecz zniesienia tego zakazu, rząd stanowiska swego zmienić nie zamierza. Minister Skarbu oświadczył, że wobec chwilowych gospodarczych warunków zniesienie zakazu jest niemożliwe.

* * *

Według urzędowych statystyk, *posiadał Hamburg również w 1927 roku najsilniejszy ruch pasażerski i towarowy.* Ruch towarowy wysyłkowy wynosił w 1927 roku przeszło 25 miljonów tonn. Odpowiada to około 5-ciokrotnemu ruchowi towarowemu Bremy i okrągo 53 proc. ogólnego niemieckiego ruchu morskiego. Również w ruchu pasażerskim Hamburg w roku 1927 stał na czele niemieckich portów. Ogółem przez Hamburg wyjeżdżało i przyjeżdżało 129,208 osób, natomiast przez Bremę 115,339. Transport osób przez Hamburg odbywa się prawie wyłącznie na statkach niemieckich.

* * *

Na Węgrzech zostało stworzone nowe *ministerstwo gospodarstwa,* na czele którego stoi Dr. Bud. Pierwszem zadaniem tego ministerstwa będzie rewizja traktatów handlowych z państwami sąsiedniemi, które eksploatują rynek węgierski. Obecnie Węgry nie korzystają z żadnego ekwiwalentu na podstawie tych traktatów. Spodziewają się, że rewizja przyniesie poprawę bilansu handlowego.

Bilans strajków w r. 1927

Stracono 2,429,070 dniówek wartości 12 miljonów złotych

W ostatnim numerze kwartalnika p. t. „Statystyka Pracy" znajdujemy cyfry, odnoszące się do strajków w roku 1927.

W roku tym mieliśmy w Polsce ogółem *609 strajków*, w których brało udział *232.504 robotników*. Strajki te ogarnęły 3.772 zakładów przemysłowych i innych warsztatów pracy. *Robotnicy stracili ogółem 2.429.070 płatnych dniówek.*

Najwięcej strajków wybuchło w maju, bo okrągło 100, a najmniej w grudniu, bo tylko 27. Jednak najwięcej dniówek stracono w marcu, bo prawie połowę całorocznej ilości, czyli 1.111.427. Na marzec przypada bowiem strajk w przemyśle włókienniczym, który objął kilkadziesiąt tysięcy robotników.

Biorąc pod uwagę poszczególne gałęzie pracy, przypada na rolnictwo: 24 strajków i 1.853 straconych dni roboczych. W rolnictwie tylko 25 gospodarstw miało strajk.

Górnictwo miało 26 strajków, któremi dotkniętych zostało 425 przedsiębiorstw górniczych. Ilość straconych dniówek wyniosła 26.342.

Przemysł mineralny miał 81 strajków. Strajkowano tam w 208 przedsiębiorstwach i stracono ogółem 159.648 dni roboczych.

W przemyśle hutniczym strajków było 8, któremi dotkniętych zostało 9 przedsiębiorstw Stracono 10.814 dni roboczych.

W przemyśle metalowym i elektrotechnicznym było 81 strajków w 141 przedsiębiorstwach, przyczem stracono 226.476 dni pracy.

Przemysł chemiczny miał 29 strajków w 36 przedsiębiorstwach i stracił 36.126 dni pracy.

Przemysł włókienniczy miał 97 strajków, którymi dotkniętych zostało 1173 zakładów, przyczem stracono 1.313.860 dniówek.

Przemysł papierniczy: strajków 6 w sześciu fabrykach. Straconych dni pracy 2.890.

Przemysł garbarski: strajków 15 w 52 zakładach. Stracono dni pracy 5.195.

Przemysł drzewny: strajków 99, zakładów dotkniętych strajkiem, 251, straconych dni pracy 88.995.

Przemysł spożywczy: strajków 28 zakładów dotkniętych strajkiem, 138, straconych dni pracy 18.105.

Przemysł odzieżowy: strajków 44, przedsiębiorstw dotkniętych strajkiem 614, straconych dniówek robotniczych 90.821.

Przemysł budowlany: strajków 33, przedsiębiorstw dotkniętych strajkiem 492, straconych dniówek robotniczych 422.961.

Przemysł drukarski: strajków 10, przedsiębiorstw, objętych strajkami, 13, straconych dniówek robotniczych 4.062.

Instytucje użyteczności publicznej: strajków 10 w dziesięciu instytucjach, straconych dniówek robotniczych 5.737.

Handel: strajków 9, przedsiębiorstw, dotkniętych strajkiem 120, straconych dni pracy 15.503.

Komunikacja, poczta i telefon: strajków 2 w dwuch przedsiębiorstwach, straconych dni roboczych 3.128.

Hotele i restauracje: strajków 2, zakładów dotkniętych strajkiem 46, straconych dni pracy 1.216.

Przedsiębiorstwa widowiskowe: strajków 2, przedsiębiorstw dotkniętych strajkiem 3, straconych dni roboczych 302.

Na ogólną ilość strajków 609, strajków zbiorowych, ogarniających całe gałęzie przemysłu względnie całe grupy zakładów przemysłowych, było 132. Reszta, t. j. *477 strajków, to strajki pojedyńcze*, t. zw. dzikie, które wybuchały w pojedyńczych zakładach i przedsiębiorstwach z najrozmaitszych powodów. W takich dzikich strajkach brało udział ogółem 68.271 robotników. Ilości straconych dni roboczych z powodu takich strajków urząd statystyczny nie podaje — musiała jednak stanowić bardzo poważny odsetek ogólnej cyfry straconych dniówek robotniczych, gdyż niektóre takie strajki trwały bardzo długo — z reguły bowiem w takich wypadkach niema możności skutecznego pośrednictwa, ponieważ jedna i druga strona zacięcie trwają przy swoich argumentach, tem zacięciej, im mniej uzasadnione są te argumenty.

Nasuwa się pytanie, jakie były przyczyny tych wszystkich strajków. Urząd Statystyczny daje pod tym względem wyczerpujące informacje.

Z powodu wysuniętych żądań podwyżkowych wybuchło 498 strajków. W tych podwyżkowych strajkach brało udział 200.875 robotników, tracąc *2.325.131 dniówek.*

Z powodu zatargów na tle godzin pracy było 12 strajków z udziałem 8,108 robotników, którzy poświęcili 12.595 zarobków dziennych.

Z powodu zatargów na tle *innych warunków pracy* było 19 strajków, strajkowało 4.102 robotników, którzy stracili 21.271 dniówek.

Pozatem były strajki o uznanie organizacyj zawodowych, o nieredukowanie personelu, o przyjęcie do pracy robotników wydalonych, o usunięcie kierownictwa, strajki demonstracyjne dla okazania solidarności z innymi strajkującymi oraz strajki o motywach politycznych.

Z ogólnej ilości 609 strajków *robotnicy wygrali tylko 108* strajków całkowicie, 342 wygrali częściowo, przegrali całkowicie 146 strajków.

* * *

W strajkach w roku 1927 brało udział 232.504 robotników, którzy przez strajkowanie stracili *2.429.070 dniówek.* Licząc jedną dniówkę robotnika przeciętnie po 5 złotych tylko, robotnicy ci stracili *12.145.350 złotych.*

Licząc na rok okrągło 300 dni roboczych, robotnicy ci przy przeciętnej stawce 5 złotych dziennie zarobiliby w ciągu roku *348.756.000 złotych.* Z tego swego dochodu rocznego zapłacili za czas stracony na strajki 12.145.350 złotych, czyli okrągło *3 i pół procent.*

Czy odzyskali to przez uzyskane powyżki?

Z pośród 498 strajków, proklamowanych z powodu żądań podwyżkowych, w których to strajkach brało udział 200.875 robotników, *tylko 84 strajków z 11.145 robotników zostało całkowicie wygranych*, t. zn., że na 200 tysięcy, tylko 11 tysięcy robotników zdołało drogą strajku przeprowadzić całkowicie swe postulaty. Z drugiej strony 92 strajki z 12.014 robotnikami zostały całkowicie przegrane, t. j. robotnicy ci *nie uzyskali nic.* Reszta t. j. 322 strajki które objęły 179.868 robotników, zakończyło się kompromisowemi ugodami, zostały więc tylko częściowo przez robotników wygrane.

Ponieważ w dodatku strajki nie zaczynały się na początku roku, lecz przeważnie pod koniec pierwszej i w ciągu drugiej połowy roku uzyskane *podwyżki musiałyby wynosić przeciętnie 7 procent*, aby na przestrzeni roku strata, poniesiona przez robotników, została wyrównana. A tak na ogół nie było i przy dokładnym rachunku musiałoby się okazać, że robotnicy, którzy strajkowali, *nietylko nie poprawili sobie warunków materjalnej egzystencji, lecz przeciwnie, ponieśli znaczną ofiarę i złożyli dań na rzecz molocha strajku, który żyje krwawicą robotnika.*

Może kto powie na to, że w następnym roku ujawnią się dopiero korzyści strajku, gdyż wtedy osiągnięte podwyżki nie będą już obciążone amortyzacją strat, poniesionych przez strajk. Praktyka wykazuje, że tak nie jest. W międzyczasie bowiem z reguły albo warunki pracy się pogarszają z powodu następstw jakie wywołał strajk lub wywalczona podwyżka w produkcji, albo też rosną ceny artykułów pierwszej potrzeby, pochłaniając w ten sposób owoc tak niezmiernie kosztownej walki.

Strajk może i jest dobrym środkiem do osiągnięcia poprawy egzystencji robotniczej, ale *tylko w społeczeństwach bogatych i zasobnych*, lecz nigdy w społeczeństwie ogołoconem z wszelkiego dorobku i nieposiadającem żadnych zasobów. Wszystko co posiadamy, jest nam potrzebne dla zaspokojenia pierwszych potrzeb, jeżeli więc na jedną rzecz przyjdzie nam wydać więcej, to z natury rzeczy *na drugą już nie starczy.* Jeżeli robotnik wystrajkuje sobie nawet większy zarobek, to żadnej korzyści z tego mieć nie może, ponieważ ktoś musi za to zapłacić i ten ktoś zkolei za swoje świadczenia, z których znowu robotnik korzystać musi, żąda większej zapłaty i odbiera robotnikowi zdobytą podwyżkę. Tak musi być, ponieważ niema u nas tych zasobów kapitału, z których możnaby zapłacić za owoce strajkowe i spokojnie czekać, aż zwiększone spożycie samo z siebie pokryje ubytek. My jesteśmy jeszcze w tych warunkach, że chcąc jakąś dziurę załatać, musimy w innem miejscu dziurę wykroić.

K. T.

List do „Prawdy"

STOSUNKI NA RYNKU TŁUSZCZÓW.

W jednym z ostatnich numerów zamieściliśmy informację o zapowiedzianem przez rząd podniesieniu cła przywozowego na tłuszcze wieprzowe, co się już w międzyczasie stało. W informacji tej wspomnieliśmy, że rząd kieruje się przytem zamiarem podniesienia krajowej produkcji tłuszczów zwierzęcych i zachęcenia hodowców trzody chlewnej do tuczenia jej. Od jednego z naszych czytelników znającego doskonale stosunki na naszym rynku tłuszczów, otrzymujemy z powodu tej informacji następujące uwagi:

„Sprawa wieprzowiny, sadła i słoniny niezupełnie tak się przedstawia, jak powiedziano w notatce, zamieszczonej w numerze 40 „Prawdy". Autor notatki pisze m. in.

„...sprowadzamy znaczne ilości smalcu amerykańskiego ,a dzieje się to dlatego, że hodowcy rzadko tylko tuczą świnie..."

Tak nie jest. Polska jest nietylko samowystarczalna pod względem tłuszczu wieprzowego, lecz mogłaby mieć już przy dzisiejszym stanie produkcji pewne ilości *na eksport.* Jeżeli zaś tłuszcze wieprzowe sprowadzamy, to dlatego, aby sztucznie, ze względów, *nie mających nic wspólnego z gospodarczemi*, obniżyć cenę krajowych, których produkcja jest nieco droższa niż zagranicznych. W rezultacie powstała w bilansie handlowym olbrzymia dziura, na którą nawet p. Dewey zwrócił uwagę. Nie dość na tem — polityka ta doprowadziła *do ruiny ekonomicznej licznych wędliniarzy i rzeźników*, producentów tych tłuszczów. I trzeba było dopiero uwag p. Dewey'a oraz doświadczeń władz podatkowych, które miały sposobność stwierdzenia spustoszenia wśród wędliniarzy, by powzięto postanowienie podniesienia ceł na tłuszcze zagraniczne. Pozatem ministerstwo rolnictwa ze swej strony obmyśla już środki, przy pomocy których możnaby w sposób jeszcze wydatniejszy zahamować *przywóz wogóle wszystkich produktów zwierzęcych*, oprócz skór surowych, których międzynarodowy obrót uregulowany został przez specjalną konwencję, podpisaną także przez Polskę.

Wprawdzie lepiej później niż nigdy, w tym jednak wypadku pomoc przychodzi naprawdę bardzo późno, gdy szkody są już przerażająco wielkie.

Olbrzymia podaż smalcu amerykańskiego spowodowała, że *w kraju leży i psuje się około 6 miljonów kilogramów tłuszczów wieprzowych* pochodzenia krajowego. W samej Warszawie władze miały sposobność stwierdzić, że leżące zapasy krajowej słoniny wynosiły we wrześniu *około dwuch miljonów kilogramów*. Przy „maksymalnej" cenie 3.70 zł. za kilogram zapasy te usiłują właściciele sprzedać po 2.50 do 3 zł. na peryferjach miasta, byle tylko wszystkiego nie stracić, byle wyciągnąć chociaż część tkwiącego w tem kapitału i utrzymać się na powierzchni.

U ubogich wędliniarzy przedmiejskich, którzy nie posiadają odpowiednich chłodni i lodowni, *od kwietnia psuły się zapasy tłuszczu wieprzowego*, czekając na lepszą konjunkturę lub wogóle na nabywcę. Przyszło skwarne lato, zapasy się zepsuły i przyszło je sprzedać po 1.50 zł. *do celów technicznych*, czyli na mydło, bo do spożywczych celów już się nie nadawały.

Takie oto są rezultaty polityki robienia „tanich cen". Na rzecz mas, które nie płacą żadnych podatków, rujnuje się i dziesiątkuje i tak rzadką bardzo warstwę tych, na których barkach spoczywają finanse państwowe.

Smalec amerykański tłoczony jest na zimno i jest standaryzowany t. zn. jest zawsze jednaki w smaku i o jednym zawsze ciężarze gatunkowym, zapachu i topliwości. Wyszedł bowiem *z rafinerji smalcu.* Smalec polski natomiast, wyrabiany w różnych pracowniach wędliniarskich, nie jest jednolitego gatunku. Każda taka pracownia wyrabia inny smalec. To też ludność bardzo często woli standaryzowany smalec amerykański, chociażby nawet był droższy od krajowego.

Rafinerji tłuszczu wieprzowego nie posiadamy w kraju. Nie mamy jej dlatego, że rząd nie bierze pod uwagę starań i zabiegów czynionych niekiedy przez bardzo poważne grupy i nie może zdecydować się na udzielenie na ten cel kredytu przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Ostatnio czyniło zabiegi pewne konsorcjum krajowe, posiadające w majątku miljon złotych i prosiło o kredyt dalszego miljona, zobowiązując się w szybkim czasie zmontować i uruchomić rafinerję smalcu. Zabiegi te — jak dotychczas — skutku nie odniosły. A z drugiej strony rząd jest aż nadto hojny np. na cele polityki zbożowej, która zresztą wydaje zamierzone rezultaty.

Rezerwa czynników rządowych byłaby jeszcze zrozumiała, gdyby chodziło tu o rzecz nadającą się dla przedsiębiorczości państwowej lub komunalnej. Ale tak nie jest. Przedsiębiorstwo takie, jeśli nie ma być deficytowem, musi być przedsiębiorstwem prywatnem i znajdować się w rękach ludzi, doskonale z tym fachem obznajmionych.

Bank Gospodarstwa Krajowego oświadczył wspomnianemu konsorcjum, złożonemu z poważnych fachowców, że *ewentualnie udzieliłby kredytu w wysokości miljona złotych, o ile dostałby zabezpieczenie hipoteczne wartości trzech miljonów.* To już zakrawa na kpiny ze zdrowego rozsądku. Przecież ten sam Bank daje np. kredyty budowlane spółdzielniom bez żadnego zabezpieczenia. Zawiązuje się spółdzielnia mieszkaniowa, t. j. zbiera się kilku ludzi, pragnących mieć własne domki, zadatkuje plac, lub otrzymuje go bezpłatnie, umawia się z przedsiębiorcą budowlanym, który zwozi na miejsce pewną ilość cegły i różnych materjałów budowlanych, które wobec Banku stanowią wymagany „własny" kapitał spółki, a Bank szybko i łatwo asygnuje *80 procent kosztu projektowanej budowy.* A tu, gdzie chodzi o pierwszorzędny interes gospodarczy, a więc interes ogólny, *żąda się potrójnej gwarancji.* Sprawa jest niezmiernie doniosła nawet ze *względów wojskowych* (mobilizacyjnych), a jednak nie może ruszyć z miejsca.

Sanacja sprawy tłuszczowej w Polsce, tak beznadziejnie zabagnionej przez politykę „tanich" cen konieczną jest jeszcze i z tego względu, że obecnie *za psujący się tłuszcz krajowy płaci konsument wędlin.* Wędliniarze bowiem, widząc doskonale, że tłuszczu wobec konkurencji amerykańskiej nie będą mogli sprzedać, lub będą zmuszeni sprzedać go daleko poniżej ceny kosztu, *kalkulują cenę wędlin w ten sposób, by pokryć straty na tłuszczu.* Dzięki temu wędliny są u nas stosunkowo bardzo drogie. Prócz tego *polityka ta wywarła już silny wpływ na hodowlę nierogacizny.* Dla uniknięcia strat wędliniarze poszukują *nierogacizny mięsnej*, o jaknajcieńszej warstwie tłuszczu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to w niedługim czasie *Polska naprawdę nie będzie mogła obejść się bez dużego importu tłuszczów.*

Podniesienie stawek celnych na tłuszcze zagraniczne naprawi prawdopodobnie coś niecoś w tych fatalnych stosunkach ale w parze z tem powinny iść starania o podniesienie rozmiarów i jakości produkcji krajowej. A jedyna droga, która do tego celu prowadzi, to *rozsądne popieranie przedsiębiorczości prywatnej* tam, gdzie ona sama się przejawia."

* * *

OBRÓT DRZEWNY MIĘDZY NIEMCAMI A POLSKĄ.

Dnia 5 grudnia wygasa termin prowizorjum drzewnego z Niemcami. Sprawa obrotu drzewem — o ile nie będzie mogła być do tego czasu załatwiona w ramach traktatu handlowego z Niemcami — będzie musiała być znowu prowizorycznie uregulowana w postaci specjalnej umowy. Zainteresowane sfery polskie wysuwają już teraz szereg postulatów, których uwzględnienia będą się domagały w tej umowie.

Przedewszystkiem sfery te domagać się będą obniżenia niemieckiej stawki cła przywozowego na materjały tarte, która obecnie wynosi 1 markę od 100 kg. do 0.40 Mk., gdyż stawka obecna jest niewspółmiernie wysoka w stosunku do przeciętnej ceny drzewa tartego.

W nowem, względnie odnowionem prowizorjum, należałoby się także domagać uchylenia przez Niemcy wszystkich zakazów i ograniczeń przywozu naszych materjałów drzewnych, jak np. zakazu przywozu dykt, fornirów i deszczółek posadzkowych oraz ograniczenia w przywozie materjału tartego z Polski.

Gdyby Niemcy nie chcieli się zgodzić na zniesienie tych ograniczeń i zakazów ani na ustalenie możliwych do przyjęcia kontyngentów, to odpowiedzią z naszej strony powinno być podniesienie cła wywozowego na drzewo nieobrobione i na wszelki surowiec drzewny.

Byłoby bardzo pożądanem, aby sprawa obrotu drzewnego z Niemcami uregulowana została możliwie najrychlej, gdyż niebawem rozpoczyna się kampanja wyrębu i producenci drzewa nie powinni pozostawać w niepewności co do sytuacji odnośnie rynków niemieckich.

TARGI LIPSKIE.

Dyrektor lipskiego urzędu targowego udzielił prasie wywiadu, w którym m. in. powiedział: Wiemy dobrze, że znajdujemy się w nieco spadającej konjunkturze, która odbiła się na lipskich targach jesiennych, jednak niema mowy o zupełnej odbudowie targów lipskich. Lipsk miał na targach jesiennych 8.400 wystawców, ilość, jakiej nie wykazują żadne targi na świecie. Przy pomocy instytutu dla badania konjunktury udało nam się znaleźć sposób oceny obrotu na targach. Obrót ten wyniesie na targach jesiennych nie mniej niż 350 miljonów marek niemieckich.

UWAGI

Mussolini o dziennikarstwie

Mussolini odbył w tych dniach konferencję z redaktorami siedemdziesięciu dzienników faszystowskich. Przy tej sposobności szef rządu włoskiego i twórca nowego ustroju wygłosił dłuższe przemówienie do zebranych dziennikarzy, w którem powiedział m. in.:

„Nie jest rzeczą absurdalną, iż podejmując się kontynuowania pracy wychowawczej kształtowania poglądów wśród mas, dziennikarze powinni być moralnie i technicznie przygotowani do tej pracy. Oczywiście w szkole nie robi się dziennikarzy, jak się nie robi w niej poetów. Niemniej przeto nikt nie zechce zaprzeczać użyteczności samej szkoły.

Dawne oskarżenia co do tłumienia wolności prasy przez tyranję faszystowską nie znajdują już wiary. Najswobodniejszą prasą na całym świecie jest prasa faszystowska. Dziennikarstwo włoskie jest wolne, gdyż służy tylko jednej sprawie i jednemu ustrojowi; jest wolne, gdyż w granicach obowiązujących w danym regimie ustaw może spełniać, jak się to dzieje w rzeczywistości, funkcje kontroli, krytyki i podniety. — Stwierdzam, w sposób jaknajbardziej stanowczy, że prasa włoska nie stanowi bynajmniej jednolitego królestwa. Tak jak orkiestra — dziennikarstwo nastrojone jest na jeden wspólny ton, a ton ten nie jest podany przez rząd za pośrednictwem jego biur prasowych w postaci inspiracji lub sugestji w stosunku do wydarzeń dnia, lecz przez samych dziennikarzy; a tonem tym jest **świadomość powinności służenia regimowi, nie czekając każdego dnia na hasło.**

Nie wyświadczając żadnej usługi regimowi ci wszyscy, którzy nie szczędzą pochwał **i w zużytych słowach opiewają każdy akt i każde wydarzenie, nawet niezbyt ważne człowieka nawet małej miary.** Należy się od tego powstrzymać. Sześcioletnia działalność rewolucji faszystowskiej jest większa od wszelkich słów, a przedewszystkiem od wielu słów **„Rzeczownik" czyni zbytecznym „przymiotnik".**

Nie wyrządzają żadnej przysługi regime'owi ci, którzy poświęcają **zbyt wiele miejsca kronice kryminalnej,** dramatyzując ją, w celu sprzedania większej ilości egzemplarzy, ani też ci, którzy zaniedbują zewnętrzny układ dziennika; winno się nad tem czuwac z uwagą zarówno w stosunku do tytułu, jak i treści, **a przedewszystkiem tytułów.** Wydaje się miljony egzemplarzy z wiadomościami o wykryciu tajemnicy Rudolfa w Mayerlingu i drukuje się aż do znudzenia dzieje Józefiny Backer, zwanej „Czarną Venus".

Wszystko to sprzeczne jest z pracą wychowawczą. Wszystko to jest dziennikarstwem starego regime'u. Jest rzeczą konieczną, ażeby dziennikarstwo nowego ustroju, t. zn. faszystowskie zeszło z tego stanowiska mentalnego i wprowadziło się w ilustrowaniu zupełnie innych wielkich wydarzeń i problematów z życia jednostek i ludu.

Kronikę kryminalną należy pozostawić komisarzom, redagującym w komisarjacie protokuły, poza wyjątkowemi wydarzeniami, w których społeczny lub polityczny interes ludzkości jest momentem przeważającym.

Nie służą regime'owi ci wszyscy, którzy nie zachowują **godności w stosunku do cudzoziemców, będących gośćmi we Włoszech,** lub wówczas, gdy wypowiadają oni swój sąd o ustroju lub Mussolinim. Nie przestanę powtarzać, że pochwały i aprobaty, udzielane mi często przez wybitne osobistości, są mi całkiem obojętne. Należy wysławiać wielkich mężów, tych, którzy oddają istotne usługi ojczyźnie i ludzkości, **ale nie pyszałków, którzy lubią patrzeć na swe fotografje w dziennikach.**

Nie służą regime'owi ci, którzy nie zachowują dyskrecji, zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej lub finansowej, którzy podają nieścisłe sprawozdania, którzy chwalą się sami a **w polemice posuwają się do posługiwania się sprawami osobistemi w sposób oszczerczy i kanibalski.**

Nie służą regime'owi ci, którzy pozwalają sobie na **zbytek katonizmu w swem nieodpowiedzialnem moralizatorstwie.**

Chcę tutaj stwierdzić, że poza sprawami natury ściśle politycznej lub innemi, stanowiącemi podstawę rewolucji, we wszystkich innych sprawach krytyka może się wyrażać z całą swobodą".

Szczególniej w dziedzinie artystycznej p. Mussolini dopuszcza zupełnie swobodę krytyki. **„Karta partji nie wzbudzi genjuszu u tego, który go nie posiada".**

Województwo Wschodniopruskie

Radykalnie lewicowy, prawie komunistyczny, a przytem z nienawiścią odnoszący się do spraw polskich tygodnik berliński p. t. „Weltbühne", pisze ostatnio dość dużo o rzekomym separatyźmie, szerzącym się w Prusach Wschodnich i o tem, jakoby wśród wschodniopruskich junkrów, potomków krzyżackich, rozważano *możliwość oderwania się od Rzeszy niemieckiej i połączenia się z Polską.* Pismo nie podaje żadnych konkretnych faktów ani też żadnym dowodem nie popiera swoich twierdzeń tak że nasuwa się podejrzenie, iż chodzi mu tylko o zwrócenie uwagi socjalistycznego rządu Rzeszy na Prusy Wschodnie, uchodzące w oczach lewicy niemieckiej za najsilniejszą redutę antyrepublikańskich i antylewicowych nastrojów i prądów i przekonanie go o konieczności kroków, które pociągnęłyby za sobą wzrost wpływów lewicowych w prowincji wschodniopruskiej. Inaczej wynurzeń tych zrozumieć niepodobna, zwłaszcza jeśli się zna nastroje nacjonalizmu wschodniopruskiego wobec Polski. Chodzi tu przeto o swego rodzaju *denuncjację,* przy pomocy której skrajna lewica niemiecka pragnie upiec dwie pieczenie: poszczuć socjalistów niemieckich na znienawidzonych obszarników wschodniopruskich, a jednocześnie wzbudzić w nich podejrzliwość w stosunku do Polski.

W numerze 41-ym tego tygodnika, z dnia 9-go października, znajdujemy drugi artykuł, poświęcony tym rzekomym knowaniom separatystycznym. Artykuł zatytułowany jest „Separatismus und Ostpreussen", a napisany przez komunizującego radykała Bertolda Jacobi i zawiera takie oto ustępy:

„Wschodnie Prusy stanowią stałą troskę Republiki niemieckiej. Od lat rządzą tam wszechniemcy. W roku 1916 wyszła stamtąd rebelja czerwcowa, skierowana przeciw niedość wojowniczo nastrojonemu Bethmann-Hollwegowi, tam też narodziła się partja ojczyźniana („Vaterlandspartei"). Tylko królewiecki uniwersytet mógł się na to zdobyć, by nadać pobitemu generałowi Ludendorffowi honorowy doktorat medycyny...

Prowincja wschodniopruska jest krajem ubogim. W granicach traktatowych obszar jej wynosi 38.467 km. kwadratowych, na którym mieszka 2.228.421 mieszkańców. Na kilometr wypada 658 ludzi. Obszar uprawny pod zboże wynosił po podpisaniu traktatu pokojowego 426.000 hektarów. Utarło się powiedzenie, że Prusy Wschodnie stanowią śpichrz zbożowy dla Rzeszy. Nic mylniejszego. Prawdą jest tylko to, że przez Prusy Wschodnie przychodzi do Niemiec prawie cały import rosyjskiego zboża. Gliniasta ziemia tej prowincji nie jest urodzajna i trzebaby na to wielu lat, aby przez zmianę gospodarki rolnej na hodowlaną wyciągnąć większe korzyści z tego kraju.

Rząd wkłada w tę prowincję rocznie od 60 do 70 miljonów marek na podniesienie rolnictwa. Jest to wyrzucony pieniądz. Reformy rolnej ani polityki osadniczej się nie prowadzi, ponieważ mówi się tam, że w tej chudej ziemi drobny gospodarz wyciągnąłby jeszcze mniej niż wielki obszarnik, który urąga Republice i tęskni do dawnej cesarskiej świetności.

W niektórych powiatach zadłużenie agrarjuszy jest tak wielkie, że od miesięcy nie płacą oni żadnych podatków. Oczywiście wielcy panowie tej prowincji nie zalegają z podatkami dlatego, że są w kłopotach finansowych, lecz jedynie dlatego, że odnoszą się z ślepą nienawiścią do nowych politycznych stosunków w Rzeszy i sabotują je na każdym kroku. Gdy zarządza się licytacje nikt się nie zjawia, aby kupować. Nawet perspektywa nabycia samochodu za 50 marek nie skusi nikogo, gdyż naraziłby się na bojkot.

Na tem tle utorowała sobie ostatnio drogę nowa orjentacja polityczna w sferach magnaterji wschodniopruskiej. Nie oznacza to, by szlachta i biurokracja wschodniopruska pod wodzą byłego prezydenta prowincji Batockiego zerwała z dawnemi monarchistycznemi i reakcyjnemi skłonnościami — tego nikt się nie doczeka.

Batocki, który w ostatnich latach wojny był dyktatorem żywnościowym Rzeszy, był zawsze oportunistą. Trzeba sobie przypomnieć, że to pod jego patronatem, a przy udziale generała Belowa jako dowódcy wojskowego, oraz ówczesnego prezydenta prowincji, socjalisty Winninga, czynione były usiłowania które doprowadziły w czerwcu 1919 r. do przygotowania formalnego zerwania z Rzeszą pod pozorem, że Prusy Wschodnie nigdy nie poddadzą się haniebnemu dyktatowi wersalskiemu. W Gdańsku miano proklamować samodzielną „Republikę Wschodnią", która połączyłaby się z państwami bałtyckiemi. Republika ta — o tem panowie ci doskonale wówczas wiedzieli — miała następnie szukać oparcia w Polsce. W ostatniej chwili Below stracił nerwy i wycofał się z przedsięwzięcia. Ale już w 1920 roku organizuje Dr. Kapp, dygnitarz królewiecki, swój zamach stanu. Była to czysto wschodniopruska robota, tylko że chciano ogarnąć tym razem całe Niemcy. Po upadku Kappa bynajmniej nie zaprzestano w Prusach Wschodnich przygotowań. W każdym powiecie powstały formacje „Heimatschutzu", a z okazji plebiscytu w powiecie Olsztyńskim, komisarz plebiscytowy von Gayl, jeden z pomocników Batockiego, skorzystał ze sposobności tworzenia policji plebiscytowej i sformował całą armję. A gdy w sierpniu 1920 r. na granicy pojawiły się przednie straże armji bolszewickiej, ścigającej Polaków, na pewien czas powstały całkiem nowe nadzieje...

Obecnie położenie prowincji staje się wręcz niemożliwem. Organizacje socjalistyczne nie mają żadnego znaczenia. Poza Królewcem i pół tuzinem większych miast prowincjonalnych, partja socjalistyczna nie posiada najmniejszego wpływu. W każdym powiecie rządzą landratowie nacjonalistyczni. Arystokracja prowincji, Lehndorffowie, Goltzowie, Eulenburgowie, Dohnowie, Bergowie, Knesenbekowie, Brülowie, Goroebenowie myślą o swoich przodkach, którzy pod koniec piętnastego wieku, mając na czele ostatniego wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, Albrechta Hohenzollerna, złożyli hołd i przysięgę lenną królowi polskiemu Zygmuntowi.

Dziś lub jutro historja może się powtórzyć, zwłaszcza jeżeli tylko zechcą warszawscy możnowładcy. Nie chcemy twierdzić, że Batocki i jego wierni nawiązali już rokowania w tym zdradzieckim celu oderwania od Rzeszy prowincji wschodniopruskiej — ale nastrój jest po temu i w rozmowach, toczonych w zaufanem gronie, ewentualności takich nie daje się już tylko pocichu do zrozumienia, lecz głośno się o nich mówi.

Grandowie prowincji wschodniopruskiej zyskaliby oczywiście na takiej zamianie. W Państwie Polskiem nie znaleźliby nawet śladów tego socjalnego ustawodawstwa które tak ciężko odczuwają w Niemczech. Jako obywatel polski obszarnik wschodniopruski mógłby sobie na wszystko pozwolić wobec swego parobka. A prowincja sama grałaby oczywiście w Państwie Polskiem zupełnie inną rolę niż grają jako prowincja pruska.

Ale Polacy narazie nie zdradzają wielkiej ochoty na ten zbyt wielki kąsek. Mówią sobie, że kwiatek polskiego województwa wschodniopruskiego trzebaby okupić upadkiem gospodarczym Kongresówki. Zdaje się przeto, że jedynie ten brak ochoty u Polaków jest hamulcem separatystycznych zapędów wschodniopruskiej junkerji".

* * *

Jeżeli to jest denuncjacja, to gorliwy radykał niemiecki ma bardzo złe wyobrażenie o mądrości swoich socjalistycznych przyjaciół, zasiadających w rządzie Rzeszy. Bowiem z miną na serjo podsuwa im tak niestworzone bujdy.

A może znowu znajdą się w Polsce pisma, które te „rewelacje" przedrukują i zaopatrzą je entuzjastycznemi nagłówkami i komentarzami, wmawiające czytelnikowi, że na junkrów wschodnio-pruskich przychodzi „otrzeźwienie" i że zaczynają już myśleć o pogodzeniu się z Polską, jak to uczyniono z podobnym elaboratem, który na tych samych szpaltach ukazał się przed paru tygodniami.

Smacznego

Agencja Wschodnia rozesłała pismom następującą wiadomość:

„Haga. Donoszą tu z Nowej Gwinei, iż urzędnicy rządu holenderskiego, którzy chcieli ściągać podatki od tubylców, zostali przez nich zabici a następnie zjedzeni."

Szkoda, że w depeszy tej Agencja Wschodnia nie podała także, jak się Gwinejczycy czuli po tej uczcie — naszych sekwestratorów podatkowych napewno nie strawiliby.

To chyba nie przypadek

W poprzednim numerze pisaliśmy o oszczerczych wiadomościach, zamieszczanych w „Berliner Tageblatt" i o kłamstwach rozsiewanych przez to pismo, co do stosunków panujących w Polsce.

Między innemi zacytowaliśmy jako przykład depeszę warszawskiego korespondenta tego pisma, zamieszczoną w numerze z dnia 9 października, donoszącą, że w czasie pobytu ministra Meysztowicza miały miejsce w Łodzi poważne zaburzenia i demonstracje, skierowane przeciw monarchistycznemu rzekomo ministrowi.

W międzyczasie otrzymaliśmy numer moskiewskich „Izwiesti" z tej samej daty, t. j. z dnia 9 października b. r. W numerze tym znajdujemy prawie, że identyczną co do treści depeszę o owych rzekomych demonstracjach, jakie strejkujący robotnicy łódzcy mieli urządzić z powodu pobytu w tem mieście ministra Meysztowicza.

To chyba nie przypadek. Żródłem informacyj dla korespondenta „Izwiesti" moskiewskich jest przedewszystkiem poselstwo sowieckie w Warszawie. Tam też zapewne musiała być sfabrykowana depesza o demonstracjach łódzkich i chyba tylko stamtąd otrzymał ją korespondent „Berliner Tageblattu".

Jeśli bowiem redakcji berlińskiej tego pisma „informacyj" o szczegółach pobytu i rozmów Marszałka Piłsudskiego w Rumunji dostarczyła ambasada sowiecka w Berlinie, względnie sam Cziczerin, bawiący we Frankfurcie, to dlaczegóżby wydział prasowy poselstwa sowieckiego w Warszawie nie miał zaopatrzyć w informacje o Polsce jego warszawskiego korespondenta.

Być może, że jest w tem wszystkiem tylko przypadek — niemniej jednak byłoby bardzo pożądanem, aby takie przypadki więcej się nie zdarzały. W tym celu należałoby korespondentowi warszawskiemu „Berliner Tageblattu' jaknajusilniej doradzić, aby opuścił Polskę, którą zresztą sam uważa za podminowaną i grożącą lada chwila wybuchem i katastrofą.

Poezja

Z czasopisma p. t. „Głos Literacki" wyjmujemy wiersz

p. t. „Próba syntezy":

...W pomiot klonów zielonej ciszy
stacza się dzień ⊡ dzień wielce przeżyty
w retortach szklanych latarń hostje płon
jak żółte irysy
—⊡
Skwer
W bławym mroku cień pełga
kwitnącej męki
rude godziny
na zegarach wieczornych szyb
ambrą pachną
i lawendą
⊡—
twoje serce
i
moje
⊡ czerwona lepka maź z nich spływa
najciszej i najprościej
o ziemio
wypierśna i pełna i płodna
obfita
i
dojna
twój sztandar ⊡ ⊡
czarno-gwiaździsta chorągiew
mój cień ⊡ ⊡
na rogu światła i obłędu
razem
spadamy
w
błękitną stągiew
ty
i
ja
przeobrażeń wieczystych dziad wędrowny
ty
i
ja
ty ⊡ i ⊡ ja
unużony zgarbiony i płaski
ty i ja

Jak widać poezja staje się sztuką coraz łatwiejszą.